Ogródek Afrodyty

BIBLIOTEKA LEKKICH POWIEŚCI

TOM I.

MARCEL PRÉVOST:

DZIEWUSZKI

KRAKÓW 1909 ◻ NAKŁADEM KSIĘGARNI STEFANA KÁVKI
DRUKARNIA ALEKSANDRA RIPPERA

12.-

139

MIĘDZY NAMI PANIENKAMI

MARCEL PRÉVOST:

MIĘDZY NAMI PANIENKAMI

PRZEŁOŻYŁ

BUD LOOK

12

KRAKÓW 1909
NAKŁADEM KSIĘGARNI STEFANA KAVKI
DRUKARNIA ALEKSANDRA RIPPERA.

MIĘDZY NAMI PANIENKAMI.

(Lucy i Mary znajdują się na operze, w małym saloniku w tyle loży. Obie w różowym tiulu, obie blondynki, obie niespełna szesnastolatki.

Wystawiają Lohengrina.

Na przodzie loży siedzą mamy, w dyskretnych, nadzwyczaj pojedynczych tualetach i gawędzą z kilku starszymi jegomościami, których szanowny wygląd wyklucza z góry wszelkie podejrzenie flirtu.

Młode dziewczęta podchwytują od czasu do czasu jakąś nieszkodliwą uwagę o pogodzie, o influency, o tym lub owym wypadku śmierci itd.

Wolą przeto w swoim kąciku szeptać ze sobą i chichotać, przyczem tulą się i łaszą do siebie jak kotki).

LUCY.

– Ach, najdroższa. Twoja matka musi iść z tobą. Cóżbym ja poczęła na balu bez ciebie? I zaręczam ci, będziesz się bawić, jak nigdy w życiu.— Jest to prastary budynek z samymi zakamarkami, krętymi schodami i ciemnymi korytarzami. No,

a wiesz ty, te korytarze — takich w całym Paryżu już niema. Nie uwierzysz, jakie zachwycające wyprawy i odkrycia robiłyśmy tam zeszłego roku. — A wreszcie i »On« tam będzie z pewnością. —

MARY.

— A tak, jeżeli mu pozwolę. *(Pauza)* — Mówno, co wyście wyprawiały zeszłego roku w tych sławnych korytarzach?

LUCY.

— No, chodziło się tam i napowrót — parami naturalnie — i stawało się od czasu do czasu, aby się przypatrzeć jakim starym dywanom, gobelinom lub obrazom. A wtedy korzystali nasi kawalerowie z tej pomyślnej chwili, aby — — no, ty już rozumiesz.

MARY.

— Straszna z ciebie kokietka, Lucy. Pozwalasz tym wszystkim młodym chłopcom na rzeczy, jakichbym ja nawet »Jemu« nie pozwoliła.

LUCY.

— Mój Boże, robię jak drugie — nie lepiej i nie gorzej. Przesiedź na najbliższym balu kilka tańców, zamiast tańczyć wciąż jak opętana, według swojego zwyczaju; i przyglądnij się pojedynczym parom — ich twarzom i pozom — a odgadniesz

zaraz, o co chodzi wszystkim, wierz mi, wszystkim. — Tak, iż często stawiam sobie pytanie: czy nasze matki są ślepe, czy też wogóle nie chcą widzieć?

MARY.

— Dlaczego miałyby niechcieć widzieć?

LUCY.

— No dlatego, aby nas jak najrychlej wydać za mąż.

(Pauza, podczas której obie rozważają tę ważną kwestyę).

MARY.

— Ale powiedz, Lucy, — na co ty im właściwie pozwalasz?

LUCY *(z uśmiechem).*

— Komu?

MARY.

— No, flirtom twoim, ma się rozumieć. Ty rozumiesz bardzo dobrze, co mam na myśli.

LUCY.

Zależy od tego jakim, ty głupiutka.

MARY *(niecierpliwie).*

— Ach, jakaś ty czasem nieznośna! *(Całują się).* Chciałabym wiedzieć, co ty im właściwie pozwa-

lasz, lub, aby wyraźniej powiedzieć — *(Szuka odpowiednich słów i mówi potem cichutko, jakby wymawiała coś straszliwie nieprzyzwoitego)...* tę rzecz najgorszą, na jaką kiedy pozwoliłaś ładnemu chłopcu?

LUCY.

— Patrzcie, patrzcie, jaka ciekawa! *(Całują się znowu).* A gdybym o to samo cię spytała?

MARY.

— O to łatwo opowiedzieć. Przypominam sobie całkiem dokładnie, jak to było. Zeszłego roku w Villers, wieczorem. Poszliśmy po obiedzie na spacer: mama, wój Szymon, pani de Noisel i »On«.

LUCY.

— Jaki »On«?

MARY *(naiwnie).*

— No, Henryk, naturalnie.

LUCY *(ściska ją).*

— Pyszna jesteś. Teraz musisz mi opowiedzieć, jakieście szkaradzieństwa mieli ze sobą.

MARY.

— O nie, nie było między nami żadnych szkaradzieństw. — A więc: my szliśmy przodem,

reszta towarzystwa dość daleko za nami... Znasz przecie drogę do Houlgate, co chwila zakręt; tak byliśmy właściwie całkiem sami. — Otóż, kiedyśmy znowu skręcili, nagle rzuciła się na nas krowa. Przelękłam się tak, że upadłam Henrykowi w ramiona — tak iż moja głowa znalazła się na jego piersiach. A potem przymknęłam oczy...

LUCY *(dygocąc z niecierpliwości).*

— I cóż...?

MARY.

— No, Henryk skorzystał z tej sposobności, aby mnie pocałować.

LUCY.

— W usta?

MARY *(pochyla głowę przytakująco).*

— Czy uwierzysz, najdroższa, że przez całe trzy dni nie mogłam myśleć o niczem innem? Tylko wciąż, wciąż o tym pocałunku!

LUCY *(w zamyśleniu).*

— Tak, ze mną było pierwszy raz tak samo.

MARY.

— Więc pozwalałaś się odtąd często całować?

LUCY.

— Często? — nie. Ale, mój Boże, cóż wreszcie takiego jest na tem? Wiesz, ja pozwalam się całować, ale zamykam przytem usta całkiem mocno i zaciskam wargi. — A ty?

MARY.

— O ja... Pierwszy raz kiedy mi się to zdarzyło, nie myślałam w istocie całkiem o tem, aby zamknąć usta.

LUCY *(zamyślona)*.

— Tak? — hm, hm.

(Pauza. Jeden ze starszych jegomościów opuszcza lożę. Przechodząc koło młodych dziewcząt, rzuca im kilka staroświeckich komplementów, które nie robią na nich żadnego wrażenia).

MARY.

— Boże kochany, jacy to nudziarze ci starzy panowie! Tymczasem jest podobno wiele młodych, ładnych kokietek, które lubią takich starców. Tak przynajmniej twierdzi Henryk. *(Pauza)*. Ale tyś mi nie opowiedziała jeszcze tej najgorszej rzeczy, jakąś kiedy popełniła z młodym chłopcem.

LUCY.

— Ach idźże, cóż cię to interesuje?

MARY.

— Powiedz mi, proszę cię.

LUCY.

— No więc, ostatnim razem na balu u Rodrigue'ów —

MARY.

— Czy to ten dom z korytarzami?

LUCY.

— Tak — było to właśnie w jednym z tych korytarzy. Staliśmy przed jakimś starym gobelinem — mały d'Ambland i ja —

MARY.

— Ten rudowłosy? — o, tego nie mogę znosić.

LUCY.

— Mnie on się bardzo podoba. — Powiedział mi, że mam piękne ramiona. A potem udawał, że chce oglądnąć rękawki u mojego stanika; podniósł mi rękę trochę do góry i — *(robi znaczący ruch)*.

MARY *(chichocze jak zwaryowana)*.

— Mój Boże, jakie to komiczne! Musiało cię okropnie łaskotać?

LUCY.

— Ach, gdzieżtam — odrobinę.

MARY *(z błyszczącemi oczyma).*

– Powiedz mi jeszcze jakie paskustwa z chłopcami.

LUCY.

– Nie chcę; boje się, żebyś nie wypaplała innym.

MARY.

– O, Lucy – wiesz przecie, że nigdy tego nie robię. Opowiedz-że mi — pauza zaraz się skończy.

LUCY.

— Więc słuchaj – to było znowu z małym d'Ambland.

MARY.

– To śmieszne – nigdybym nie posądziła go o coś podobnego...

LUCY.

— Gruboś się pomyliła. – Tym razem było to u nas — pewnego popołudnia. Przyniósł mi bilet do teatru na Miss Helyette. — Mamy nie było w domu; przyjęłam go w małym salonie. Przez cały czas umizgał się do mnie i chciał mnie pocałować. Ale ja nie pozwalałam i śmialiśmy się oboje, że umrzeć. *(waha się przez małą chwilę).*

W końcu kazałam mu iść precz. Kiedyśmy stali we drzwiach, klęknął przedemną — stałam tuż przy nim, myśląc, że chce mi nogi wycałować, jak to już nieraz czynił. —

MARY.

— Uważaj, twoja matka podsłuchuje...

LUCY.

— To źle — przysuń się bliżej do mnie.

(Pochyla się ku Mary i szepta jej koniec opowiadania do ucha).

MARY *(jak gromem rażona).*

— Co?! — pod suknią?

LUCY.

— Ależ naturalnie. A cóż ty myślisz? — — Lecz teraz chodź, mama nas woła.

(Wchodzą napowrót do loży. Orkiestra gra marsz weselny).

PANNA HILDA.

Każdy z nas ma takie wspomnienia, które przeświecają z daleka, z przeszłości, gdyby światełka wesołego, pięknego miasta, leżącego zdala za nami. Lecz nie wracamy już nigdy do tego miasta i zwolna... zwolna bledną i gasną światełka.

Liczyłem właśnie siedmnaście lat, kiedy mnie rodzice posłali do Niemiec, abym się gruntownie wyuczył języka. Miałem iść później na politechnikę, trzeba więc było umieć po niemiecku. Gdyż politechnika jest u nas szkołą wojskową, a wojsko jest po to, aby walczyć z Niemcami, a zdaje się, jakoby łatwiej i lepiej było usiec Niemca, gdy się będzie z nim mówić w jego własnym języku.

Tak więc wyprawiono mnie do Niemiec, mianowicie do Soden. Kto nie zna Soden, nie potrzebuje się tego wstydzić. Jest to maleńka przystań kąpielowa u stóp Taunusu, w pobliżu Frankfurtu.

Dworzec, kurhaus z pięknym parkiem, kilka odosobnionych will przy wyciągniętej w nieskończoność ulicy, oto całe Soden. Prawie wszystkie te wille są

pensyonatami, zamieszkałymi w lecie przez drobne rodziny mieszczańskie z Frankfurtu, dla których Homburg jest za drogi. Mają po części bardzo patetyczne nazwy: Teutonia, Germania, Ojczyzna i t. p., są jednak przeważnie bardzo pojedynczo urządzone.

Ja miałem mieszkać we willi Teutonia, dokąd już wielu z naszych znajomych posyłało swych synów. Młodzieńcy ci wracali stamtąd w formalnym zachwycie. Niektórzy z nich upierali się, by jeszcze raz wrócić, pod pozorem, że nie władają jeszcze całkiem dobrze niemieckim językiem, a z przyszłą wiosną zapewnie wybuchnie wojna.

Przybyłem do Soden pięknego lipcowego wieczoru. Byłem w takiem napięciu, i oczekiwaniu przyszłych wypadków, że prawie zapomniałem o nostalgii.

Zaledwom wysiadł, przystąpił do mnie szanowny starszy jegomość z życzliwą twarzą i ucałował mnie w obydwa policzki. Potem polecił mi uściskać dziewczynkę, którą trzymał za rękę. Nie miałem nic przeciwko temu, gdyż mała była urocza i cała w białej pice. — Całkiem zmięszany zapytałem, czy mam przyjemność mówić z panem Höflichem. Zdziwił się wielce, że wątpiłem o tem. Naturalnie, on był Höflichem, właścicielem willi Teutonia i kapelmistrzem sodeńskiego kasyna. Otrzymał list od moich czcigodnych rodziców, odpowiedział

zaraz i dziś wieczór do nich napisze, aby im donieść o moim szczęśliwem przybyciu.

Tę inteligentną rozmowę prowadziliśmy napół po niemiecku, a napół po francusku, drapiąc się w górę po stromej ulicy, z której się składa cała miejscowość Soden. Panował już zmrok. Pomimo najlepszych chęci nie mogłem jakoś zachwycać się tym stokiem górskim, a już wcale nie podobał mi się pełen namaszczenia jegomość w płaszczu i peruce, kroczący u mego boku. Na myśl, że mam całe trzy miesiące przepędzić w tym zapadłym kącie i z tym dziwacznym muzykantem, cisnęły mi się do oczu łzy, które jednak bohatersko tłumiłem.

Wreszcie doszliśmy do willi. Był to mały domek, leżący wśród zieleni, który wyglądał, jakgdyby był wycięty z tektury.

Biedna willo Teutonio, jakże byłem niesprawiedliwy względem ciebie w ów wieczór. Jakże ohydnymi wydały mi się twoje wielkie, łyse, licho umeblowane pokoje, mały czworokątny ogród i salon, którego ściany pokryte były niezmierną ilością fotografii Ryszarda Wagnera. Muszę także wyznać, że wprost komiczne na mnie wrażenie zrobiły pani kapelmistrzowa i jej obydwie starsze córki: Izolda i Hilda, które — wszystkie ubrane w białą pikę — przyjęły mnie na progu salonu. — Ach, panno Hildo, jak mogłem *Ciebie* znaleźć komiczną! Mój siedmnastoletni smak był już nieco nadpsuty lekką paryską elegancyą.

Zaraz po naszem przybyciu podano kolacyę. Nie zostawiono mi nawet tyle czasu, bym ze sukni swoich otrząsnął pył podróżny.

Siedziałem po prawej stronie gospodyni, naprzeciwko mnie kapelmistrz z najmłodszemi córkami, Izoldą i Elżbietką; były to lube podlotki. Hilda, która musiała już mieć około dwudziestki, nie siadała wcale do stołu. Przynosiła piwo, szynkę i kartofle i znikała znowu. Kartofle, piwo i szynka — to była cała kolacya, przyczem z szynką obchodzono się wielce oględnie.

Po wieczerzy udałem się niezwłocznie do swego pokoju. Zastałem tutaj pannę Hildę, zajętą rozmieszczaniem mojej bielizny po szufladach. Uśmiechnęła się do mnie, a ja zacząłem dostrzegać, iż była właściwie bardzo ładna, — jasnowłosa, różowa jak wielkie dwudziestoletnie *bebi*. Skończywszy, zawahała się na chwilę, a potem spytała:

— Czy pan zaraz idzie do łóżka?

— Tak, panienko.

— Może pan jeszcze potrzebuje czego?

— Nie, panienko.

— O której godzinie rano życzy sobie pan mieć kawę?

— No, tak — około siódmej.

Spojrzała na mnie swemi ładnemi jasnemi oczyma, pokręciła się jeszcze parę minut po pokoju i wyszła nareszcie, mówiąc z uśmiechem:

— Życzę dobrej nocy panu.

Skoro się oddaliła, miałem wrażenie, żem postąpił jak ostatni głupiec, ale nie chciałem przyznać się do tego przed sobą.

Udałem się natychmiast na spoczynek. Łóżko miałem bardzo szczególne — kołdra pomiędzy dwoma ogromnymi piernatami, a wszystko powleczone nieuchronną białą piką. Pomimo to jednak spałem wyśmienicie.

Był już dzień biały, kiedy mnie obudził lekki szmer; to panna Hilda przynosiła śniadanie. Podwinęła wysoko rękawy u swojej białej bluzki, a kiedy mi stawiała kawę koło łóżka, musnęło mnie jej białe jak mleko ramię, pokryte złotawym puszkiem. Przez noc musiałem chyba stanowczo nabrać rozumu — gdyż — —

Jakże pokochałem od owego poranku mieścinę Soden, pana kapelmistrza, białe pikowe suknie, kolacye z chudymi skrawkami szynki, łoże niepodobne do prawdy! W trzech miesiącach nauczyłem się po niemiecku i wiele innych rzeczy! Po upływie tego czasu musiałem wracać do Paryża i czułem się z tego powodu tak nieszczęśliwym, że byłem blizki płaczu.

Atoli pewien drobny epizod osuszył łzy moje i przywiódł mnie do upamiętania.

Przed samem odejściem na kolej nie mogłem się oprzeć pokusie, by nie zajść jeszcze raz do swojego pokoju, aby się pożegnać z tym małym zakątkiem, w którym byłem tak szczęśliwy.

Szybko otworzyłem drzwi — i zastałem pannę Hildę w objęciach grubego frankfurckiego studenta, który po mnie odnajął pokój.

* * *

Ostatniego lata przybyłem znowu do Niemiec i do gór Taunus, w których ongi studyowałem niemiecki język i niemieckie dziewczęta. Oglądałem znowu romantyczne wioski u stóp wielkiej Góry Polnej, Kamienia Królewskiego, Starego Króla i jak tam one wszystkie się zowią. Rozprawiałem znów w *Reichental*'u i *Billtal*'u z małymi wartkimi potokami, które sączą się po żwirze, szeptając piosnki Henryka Heinego. Widziałem napowrót Soden, małą zaspaną stacyę kolejową. Willa Teutonia stoi jeszcze ciągle na temsamem miejscu, tylko ozdoby gipsowe zwietrzały i pokruszyły się ze starości i dziki winograd nie buja już tak gęsto. Zobaczywszy w oknie postać w białej pice, nie mogłem się oprzeć pokusie i wszedłem do środka.

Była to rzeczywiście panna Hilda. Ale jaka zmieniona! Dwanaście lat wystarczyło, aby jasnowłosego, różowego dzieciaka przemienić w jakąś nieokreśloną bladą, zwiędłą istotę, w której niepodobna było odkryć śladów dawniejszego powabu.

Czyżem i ja tak okrutnie się zmienił? Nie poznała mnie wcale. Kiedym powiedział swe nazwisko uśmiechnęła się grzecznie i poznałem od-

razu, że o mnie całkiem zapomniała, lub może wzięła za kogo innego — a kto wie, ilu ich było.

Panna Hilda stała się z wiekiem melancholijną. Opowiedziała mi, że matka od dawna nie żyje, a ojciec leży sparaliżowany. Z tego, co mówiła, odgadłem, sądzę, że pensyonaryusze nie zadawalniają się już cienkiemi płatkami szynki, odkąd kawa poranna przestała im dostarczać odpowiedniego odszkodowania. Musiała myśleć to samo — biedne stworzenie!

Potrząsnęła bowiem smutnie głową i rzekła:

— Izolda i Elżbietka wyszły za mąż. Jedna w siedmnastu latach za doktora, druga w dwudziestu za oficera. Gdyby były zostały z nami, mielibyśmy dotąd lokatorów w willi, jak wówczas za czasów pana. Były przecież obydwie takie śliczne. Bardzo to niepięknie z ich strony, tak nas zostawić na lodzie.

PANNA ZE ZŁOTYM KOTEM.

— Tak, — ciągnął nasz stary przyjaciel Tribourdeaux, człowiek z wykształceniem literackiem i filozoficznem, co rzadko tylko zdarza się wśród lekarzy wojskowych — tak, rzeczy nadzmysłowe spotyka się na każdym kroku; otaczają nas, ogarniają, przenikają... nauka wyciąga ku nim zdobywcze ręce, ale stracony to trud: nie można ich ująć, tknąć palcem. Duchowi naszemu dzieje się tak, jak naszym dalekim przodkom, którzy kilka mórg lasu przemienili w ziemię uprawną: skoro tylko zbliżyli się do granic swej posiadłości, słyszeli głuchy ryk i widzieli świecące oczy dzikich zwierząt... Ja sam niejednokrotnie w życiu doznałem uczucia, jakobym stał tuż przy samej granicy n i e z b a d a l n e g o... raz przedewszystkiem —

Jedna z młodych kobiet rzekła:

— Już widzę, chcesz nam doktorze opowiedzieć tę historyę. Dalej!

Lekarz potrząsł głową:

— Bynajmniej. Opowiadam ten wypadek o ile możności jak najrzadziej, bo niepokoi słuchaczów,

a i mnie samemu odbiera równowagę. Jeżeli jednak koniecznie chcecie, niechaj będzie.

— Byłem w roku 1863 lekarzem drugiej klasy w Orleans. Mieszkania kawalerskie są w tem mieście szlacheckiem, gdzie się wszędzie napotyka wytworne pałace, bardzo rzadkie. Co do mnie, potrzebuję przestrzeni i świeżego powietrza, umieściłem się przeto na pierwszem piętrze ogromnego budynku, leżącego na samym końcu miasta, tuż przy Saint-Euverse, który pierwotnie służył za mieszkanie i za magazyn jakiemuś fabrykantowi kołder. Fabrykant zbankrutował, a jego olbrzymią szatrę, która pomimo swej nowości zaczęła się już walić, gdyż żywa dusza nie troszczyła się o nią, sprzedano za bezcen — z całem urządzeniem. Nabywca spodziewał się odbić sobie koszta z procentem, gdyż właśnie ku tej stronie zabudowywało się miasto; i zdaje mi się, że w istocie rozciąga się tam dzisiaj wielka nowa dzielnica. Kiedy się wprowadzałem, stał dom ten jakoby strażnica od strony wsi, przy wylocie ulicy, podobnej ze swymi pustymi placami, i z rzadka porozrzucanymi domkami do szczęki, w której brakuje paru zębów. Wynająłem połowę pierwszego piętra: cztery pokoje. Dwa, wychodzące na ulicę, przeznaczyłem na sypialnię i pracownię, trzeci zapełniłem deskami i wazonkami z kwieciem, czwarty pozostał próżny. Podobało mi się bardzo moje mieszkanie. Do spacerów miałem, wzdłuż fasady, wielki balkon, czyli

raczej połowę balkonu, gdyż był on (słuchajcie państwo uważnie) przedzielony na dwie połowy nizką żelazną kratą, przez którą łatwo się przełaziło na drugą stronę.

Mieszkałem już w tym domu niespełna dwa miesiące, kiedy, wracając do siebie jednego wieczoru lipcowego, ujrzałem ze zdumieniem światło w oknach niezamieszkałej części apartamentu. Efekt tego światła był bardzo szczególny; bladym refleksem oświecało ono część balkonu, ulicę i kawał gruntu. Mam więc sąsiada, — pomyślałem. — Kiedy byłem na górze, wysunąłem się, nie robiąc żadnego szmeru, na balkon. Atoli światło już znikło. Wróciłem do pokoju i czytałem przez godzinę lub dwie. Od czasu do czasu wydało mi się, że słyszę jakieś kroki dokoła, jakoby w głębi muru. Położyłem się do łóżka i zasnąłem twardo. O północy zerwałem się gwałtownie. Miałem zupełnie określone uczucie, że ktoś przeszedł koło mojego łóżka. Wstałem, aby zapalić świecę; i oto słuchajcie, co ujrzałem:

Na środku mojej izby stał wielki kot, z lekko wygiętym grzbietem i patrzał na mnie swemi fosforycznemi źrenicami. Przepyszny kot angorski z długim włosem i puszystym ogonem, atoli z dziwną siercią, błyszczącą jak żółty jedwab. Światło padało na tę skórę kocią i zwierzę wyglądało, jakby całe ze złota. Aksamitnym krokiem zbliżyło się ku mnie i poczęło zwolna ocierać gibkie członki

o moje nogi. Schyliłem się, aby je pogłaskać; kot nie uciekał wcale, mamrotał z zadowoleniem i wyskoczył mi na kolana. Była to bardzo młoda kotka; małe różowe brodawki sutków zaledwie przeglądały przez gęstą sierć na brzuchu. Głaskanie sprawiało jej widoczną przyjemność; łasiła się i mruczała rozkosznie. Posadziłem ją na ziemię i chciałem wypędzić, ale ukryła się pod meble. Jednak skoro tylko zdmuchnąłem świecę, wyskoczyła znowu na łóżko. Pomimo to usnąłem napowrót. Na drugi dzień obudziłem się dość późno i nie mogłem nigdzie znaleźć kota.

Niewiarygodnem się wyda, jak snadnie umysł człowieka wychodzi z równowagi. Cóż mnie wreszcie takiego spotkało? W niewynajętem mieszkaniu zapłonęło światło, które potem zgasło; kot angorski o niezwykłem zabarwieniu sierci zjawia się i znika w tajemniczy sposób. W tem wszystkiem — nieprawdaż — niema nic niepokojącego? A jednak... przedstawcie sobie, że te drobne przygody powtarzają się w ciągu tygodnia codziennie i zupełnie regularnie: to wystarcza, aby zamącić mózg samotnego człowieka i wywołać w nim lekkie ciarki, — uczucie, że się stoi na samej granicy rzeczy niepojętych. Organizacya człowieka jest tego rodzaju, że nieświadomie prawie pożąda wystarczającego powodu; dla każdego szeregu różnorakich wypadków szuka jakiegoś powodu, jakiegoś prawidła

i niepokoi go to, jeżeli nie uda mu się wykryć żadnego powodu, żadnego prawidła.

Nie należę bynajmniej do ludzi tchórzem podszytych. Atoli obserwowałem u innych trwogę, od jej naiwniejszej formy, jak u dzieci, aż do jej tragiczności u szaleńców. Wiem, iż karmą jej jest niepewność, a staje się zwykłą ciekawością, skoro się jej wskaże przyczyny rzeczy. Musiałem przeto dojść do prawdy. Wypytywałem mojego chłopca. Nie wiedział nic o naszych sąsiadach. Co rano przychodziła jakaś stara kobieta i porządkowała sąsiednie mieszkanie. Pacholik wziął ją na spytki, jednak albo była głucha jak pień, albo też nie chciała odpowiadać.

Pomimo to zdołałem sobie wytłumaczyć pierwszą osobliwość, mianowicie gaszenie światła, kiedy wracałem do domu. Zauważyłem, że okna obok są zasłonięte tylko koronkowemi firankami; nadto stały nasze balkony w najściślejszym związku ze sobą. Sąsiad mój, czy sąsiadka obawiali się może niedyskretnych oczu i dlatego gasili światło. Aby się przekonać, czy przypuszczenie moje było słuszne, użyłem z zupełnem powodzeniem bardzo pojedynczego środka. Kazałem około południa przynieść służącemu zimną kolacyę z kasyna i wcale nie wyszedłem z domu wieczorem. Kiedy się ściemniło, zaczaiłem się u okna. Niedługo ujrzałem jasność, oblewającą balkon przed oknami sąsiedniego mieszkania. Po cichu i ostrożnie wyczołgałem się

na swój balkon i przelazłem przez kratę. Teraz, kiedy wiedziałem, że wystawiam się na niebezpieczeństwo rzeczywiste — mogłem kark skręcić lub dostać w łeb od gościnnego sąsiada — nie uczuwałem najmniejszego niepokoju. Dotarłem bez najmniejszego hałasu aż do oświetlonego okna: było do połowy otwarte; koronkowe zasłony, które mnie, stojącemu w ciemności, swobodnego użyczały widoku, robiły równocześnie postać moją niewidzialną dla każdego wewnątrz.

Ujrzałem w świetle lampy wiszącej bardzo obszerny pokój; bardzo ładne, choć źle utrzymane meble; z tyłu zaś bardzo nizkie łóżko w stylu Henryka II. Na łożu tem leżała śliczna młoda kobieta, całkiem naga. W masie rozpuszczonych włosów tonęły barki i głowa jakby w odmęcie złocistym. Oglądała swe ciało na wszystkie strony, głaskała je, przyciskała ramiona do warg, wiła się z niesłychaną... kocią zwinnością i gibkością członków. A każde poruszenie odsłaniało złoto...

— Ależ doktorze! — przerwał ktoś niepewnym głosem.

— Proszę bardzo! — opowiadam te szczegóły wcale nie po to, aby historyę swą uczynić pieprzniejszą. — Zaraz państwo zobaczycie, jak niezbędnym był ten obraz.

— Przypatrywałem się jeszcze — otwarcie mówiąc, z pewnym niepokojem, kiedy nagle oczy młodej kobiety skierowały się na mnie: dziwne

oczy, jakby z zielonego fosforu, a świecące jak latarnie. Czatowałem w ciemności, wiedziałem więc dobrze, że mnie widzieć nie było można, a przecież czułem, że te oczy mnie widzą... Kobieta krzyknęła i ukryła ciało w kołdrę, a twarz w poduszki.

Rozerwałem okno, wskoczyłem do środka i popędziłem prosto w stronę łóżka. Schyliłem się ponad twarzą, schowaną w poduszki i w najwyższem podnieceniu usiłowałem usprawiedliwiać i oskarżać się zarazem. Nazywałem się bezwstydnym tchórzem, chciałem być obitym i wypędzonym — nie bez słowa przebaczenia jednakże. Przez długi czas mozoły moje były bezużyteczne. Wreszcie odwróciła się: ujrzałem młode, niezwykłe, czarowne lica, które się uśmiechały do mnie.

Poczęła szeptać słowa, których znaczenia nie rozumiałem:

— To pan... To pan...

Kołdra usunęła się trochę na bok, zobaczyłem delikatne dziewicze piersi i usta zapraszające do pocałunku... Nie potrafiłem już przemówić ni słowa; patrzałem na nią i myślałem, wzburzony cały:

— Gdzieżem ja widział już raz tę twarz, te spojrzenia, te ruchy?

Powoli wstały we mnie gorące pożądania. Pragnąłem nieznajomą porwać w ramiona; wywinęła się z nich ze zręcznością akrobatki, pobiegła ku

lampie i zgasiła ją. Potem wróciła, ujęła moją głowę w wązkie dłonie i pocałowała mnie tkliwie.

Szmery:

— Prędko, doktorze, nie zatrzymuj się przy tem!...

— Proszę się nie obawiać! Opowiadam tylko rzeczy najniezbędniejsze. Kiedy około czwartej, upojony i ogłuszony opuściłem pokój, szedłem jak przy wchodzeniu przez balkon. Uczuwałem w sobie coś nakształt strachu przed tą piękną, łatwą do zdobycia kobietą, która przywitała mnie słowy: »To pan!«, jakby mnie znała od dawna, która tak mało mówiła i uchylała się zręcznie przed mojemi pytaniami. Powiedziała mi swoje imię: Linda; ale to było wszystko. Nie mogłem wyrzucić z myśli tych zielonych fosforycznych oczu, które od czasu do czasu rozbłysły w ciemności, ani tych elektrycznych płomyków, które tryskały z jej włosów, ilekroć w pieszczocie rękę przesunąłem przez nie. Zaledwie położyłem się do łóżka, uczułem jakiś ciężar upadający mi na nogi: był to kot. Chciałem go odpędzić, ale powracał ciągle; wreszcie dałem mu spokój i zasnąłem, jak każdej nocy, w towarzystwie tego niezwykłego towarzysza łoża. Atoli sen mój był niespokojny i zakłócony gorączkowemi wizyami.

Czy znacie uczucie — jest to, jak gdyby zapalenie mózgu — kiedy jakaś obłędna, natrętna myśl, przed którą wzdrygają się rozum i wola,

tak jak cząsteczki krwi buntują się przeciw truciźnie, wciśnie się gwałtem w mózgowie, tam się usadowi, zasklepi i dalej rozwija? W dniach, które nastąpiły po mojej osobliwszej przygodzie nocnej, doznawałem wśród prawdziwych tortur podobnego uczucia. Nowego nie zdarzyło się nic; scena powtarzała się w dalszym ciągu, z tą jedynie różnicą, że obecnie nie potrzebowałem już wdzierać się samowolnie i niespodziewanie, gdyż sąsiadka moja czekała na mnie. O świcie opuszczałem Lindę. Zaledwie znalazłem się w swoim pokoju, zaraz pojawiał się złoty kot, wskakiwał na moje łóżko, układał się wygodnie i pozostawał aż do białego rana. Wiedziałem teraz, do kogo kot należał. Kiedy raz wspomniałem o nim, rzekła Linda:

— Ach, to mój kot... prawda, że wygląda, jakby był cały ze złota?

— Nic się więc nie zdarzyło nowego, a przecież zwolna ciemne przerażenie rozpostarło się nad moim umysłem, gorączka w mózgu wzmogła się, natrętna myśl wzrosła: z punktu stała się plamą, a wreszcie... wreszcie trądem zmysłów, którego już nie można było przeoczyć.

Młoda kobieta, która odezwała się pierwsza, wtrąciła teraz:

— To jest przecie całkiem proste: Linda i kot były jedną i tąsamą istotą.

Tribourdeaux mówił dalej z uśmiechem:

— Ja nie miałem tej pewności, nawet wów-

czas... jednak nie przeczę, że ta szalona myśl nawiedzała mnie często w godzinach wzburzenia, kiedy leżałem bezsenny i daremnie wyczekiwałem drzemki. Tak; w pewnych chwilach zdawało mi się, jakoby te obydwa stworzenia z zielonemi oczyma, giętkimi ruchami i tajemniczą istotą były j e d n e m, dwoma formami jednej i tejsamej duszy. Pomyślcie, że, jakkolwiek Lindę prosiłem o to i częstokroć próbowałem ją zaskoczyć, nie udało mi się nigdy zobaczyć ich razem. Dokładałem wszelkich starań, aby sobie wyperswadować trwogę, nakłaniałem się do tego w imię rozsądku, wpierałem w siebie, że w tem co przeżywam, niema nic absolutnie niewytłómaczalnego; szydziłem z własnego strachu przed kobietą i rozpieszczonym kotem: — nakoniec kiedym wyczerpał zasób rozsądnych kazań, chwytałem się napowrót na trwodze już nie przed kotem ani przed kobietą, lecz przed owym symbolicznym dualizmem, który płoszył sny moje, — na lęku przed czemś bezcielesnem, przed wytworem własnego ducha, — na najgorszej trwodze: trwodze przed własną myślą.

Cierpiałem. Po nocach wściekłego upojenia następowały dnie skrytych męczarni, jakich chyba obłąkańcy doznają. Powoli jęło kiełkować we mnie postanowienie; rosło i dojrzewało w moim mózgu.

Zmysłów nie mogłem oderwać od kobiety; postanowiłem zabić zwierzę.

Pewnego wieczoru, zanim przez balkon prze-

czołgałem się do Lindy, wyjąłem ze swojej apteczki słoik z gliceryną, flaszeczkę z kwasem pruskim i małą sztabkę szklaną, jakiej chemicy używać zwykli. Pieszczoty nasze z Lindą były jeszcze czulsze niż kiedykolwiek; ogarnąłem ją swymi ramiony, a z włosów jej tryskały jasne iskry pod moimi głaskającymi palcami. Kiedym powrócił do swego pokoju, przybył jak zwykle złoty kot w odwiedziny. Zawołałem nań pieszczotliwie, otarł się o mnie, wygiął się w garb, podniósł ogon i począł mruczeć. Chwyciłem sztabkę, zamaczałem jej koniec w glicerynie i podałem zwierzęciu, które ją oblizało długim różowawym językiem. Manewr ten powtórzyłem trzykrotnie. Za czwartym razem zanurzyłem sztabkę do kwasu pruskiego. Kot oblizał laseczkę, nic złego nie podejrzywając; stanął zrazu nieruchomie, jakby skamieniał nagle, potem w konwulsyjnych skurczach podskoczył trzykrotnie w górę, okręcił się parę razy w kółko, wreszcie ze straszliwym, straszliwie ludzkim krzykiem runął na ziemię i zginął.

Ze skronią w potach i drżącemi rękami schyliłem się nad ciepłemi zwłokami. Przewrócone w słup oczy miały wyraz, który mi w żyłach krew zmroził. Z pod zębów zwieszał się zczerniały, długi język. Członki wszystkie były dziwnie pokurczone i jakby w spazmatycznych drgawkach połamane. Zrobiłem szalony wysiłek woli: wziąłem kota za tylne łapy i wyniosłem go z domu; przez

samotną ulicę biegłem prosto przed siebie, aż do wybrzeża. Tu rzuciłem swój ciężar w fale Loary.

Aż do białego dnia błądziłem po mieście; nie wiem do dziś dnia, w jakich stronach się wałęsałem. Wreszcie postanowiłem iść do domu. Dygotałem cały, kiedy kładłem rękę na klamce swego pokoju: lękałem się, by nie ujrzeć zabitego zwierzęcia znów żywem, jak w Poego słynnym utworze. Lecz nie: pokój był pusty, Jak złamany osunąłem się na łóżko i po raz pierwszy teraz, kiedy byłem już pewny, że jestem sam — zapadłem w sen, w sen wyczerpanego zwierza... w sen mordercy. Spałem do godziny szóstej wieczór.

Wszyscy milczeli. Jeden tylko ze słuchaczy zawołał:

— Domyślam się końca. Linda zniknęła razem z kotem.

— Widzicie, — odpowiedział Tribourdeaux — że pomiędzy pojedynczymi wypadkami tej historyi istnieje związek, skoro możecie odgadnąć koniec?... Tak, Linda zniknęła. Znaleziono w jej mieszkaniu jej suknie, bieliznę, wszystkie jej rzeczy, nawet koszulę, którą ostatnim razem miała na sobie, — ale z niej samej ani śladu. Gospodarz wynajął mieszkanie pannie Lindzie, śpiewaczce, nic więcej nie wiedział o niej. Wezwano mnie do sędziego śledczego; widziano mnie bowiem tej nocy, kiedy Linda znikła, z dzikim wyrazem twarzy błądzącego nad rzeką. Na szczęście znałem sędziego; był to

znowu na moje szczęście, umysł niepospolity. Opowiedziałem mu całą historyę, jak tutaj przed wami, i natychmiast odesłał mnie do domu. Nikomu chyba nie udało się tak gładko uniknąć procesu karnego.

Naokoło opowiadającego zaległa cisza. Nagle odezwał się jeden z panów z wymuszoną wesołością:

— No, doktorze, nie prawdaż, wszystko to, to tylko żart. Chciałeś pan damy nasze ochronić przed zaśnięciem?

Tribourdeaux skłonił się i rzekł bardzo poważnie:

— Jak się panu podoba, łaskawy panie.

ZNOWU OMYŁKA.

(Pani Leclercq i córka jej Antoinette siedzą razem w salonie, jedna na taburecie przy pianinie, druga wciśnięta w róg sofy. Salon jest mały, meble gustowne, ale dość wyszarzane. Całe urządzenie świadczy o tem, że właściciele jego widzieli pono lepsze czasy. Zato matka i córka ubrane nadzwyczaj elegancko. Anetka jest zachwycającą, delikatną blondyną, pani Leclercq nieco wyższą i bujniejszą. Z pewnej odległości możnaby ją w ciemnym salonie uważać za jeszcze piękniejszą niż córkę.

Gawędzą z sobą, przytem zdają się wyczekiwać czegoś, gdyż zwracają uwagę na każdy szelest, dochodzący ze schodów, lub z dołu od ulicy).

PANI LECLERCQ.

— Kto wie, może zapomniał całkiem. —

ANETKA.

— Toby było szczególne. Był przecież jak oszalały w sobotę wieczór... Przy kotylionie jeszcze powiedział: — Nie, ja chyba nie potrafię cze-

kać aż do piątku. Dlaczego mama pani nie przyjmuje także w poniedziałek?

PANI LECLERCQ.

— To są zwyczajne grzecznostki.

ANETKA *(żywo)*.

— O nie, on był szczery... Wie mama przecie, że mnie nie łatwo zawrócić głowę... Wszak jestem skazaną na to, by studyować różne waryacye flirtu, czy nie tak?

PANI LECLERCQ.

— Tak, niestety!

ANETKA.

— Ale to przecież nie moja wina? *(urywa, a potem ciągnie dalej)*. — No, ale teraz naprawdę tak mi się wydaje, że to coś więcej, niż zwykły flirt... Po pierwsze, bardzo jeszcze młody, ten mały Surgères; widzi się odrazu, że odebrał dobre wychowanie i nie ma jeszcze nic za sobą... A potem, mój Boże, nie jestem wreszcie taką brzydką... Nie ma w tem znowu nic takiego nienaturalnego, że się ma pretensye wyjść za mąż, jeżeli się jest bardzo ładną i bardzo... przyzwoitą.

(Dzwonek. Obydwie damy zrywają się i zamieniają szybko kilka zdań ze sobą: »Czy jest Luiza?« —

»Tak!« — »Czy ma czysty fartuszek na sobie?« — »Sądzę.« — Następnie dodaje Anetka: Niechże mama nie zostawia nas samych zbyt rychło.

Młody człowiek wchodzi do salonu. Ma może dwadzieścia parę lat, jest wysokim, smukłym, z małą głową i nieco spadającymi ramionami. W tualecie i całem zachowaniu się możnaby go wziąć za młodego Anglika. — Wzajemne powitania, ucałowanie rączek itd... Kilka frazesów o pogodzie, o teatrze i literaturze. Pani Leclercq prowadzi rozmowę prawie wyłącznie sama i wywiązuje się z tego zadania z wielką zręcznością i łatwością. Młody Surgères jest jakby zakłopotany, a Anetka milczy skromnie.

Po dziesięciu minutach może, uznaje pani Leclercq, że przyzwoitości stało się zadosyć. Rzuca wzrokiem na zegar ścienny i wstaje.)

PANI LECLERCQ.

— Mój Boże, pan wybaczy — siostra moja, pani de Tourne, telegrafowała nam dzisiaj, że przybędzie o kwadrans na szóstą. *(Młodzieniec chce się żegnać).* Ależ nie, zostań pan jeszcze, musi mnie dzisiaj Anetka zastąpić. I tak nie miała iść ze mną. Więc proszę zostać jeszcze chwilkę. Pan przecie muzykalny, nie prawdaż?

PAN SURGÈRES.

— Tak, łaskawa pani.

PANI LECLERCQ.

— Niech więc pan prosi Anetki, by panu zaśpiewała co z Cavalleria Rusticana. Studyuje właśnie tę operę i wcale nieźle ją śpiewa. Może pan zaśpiewa z nią razem. Do widzenia więc, panie; *(ściska Anetkę)*, do widzenia, kochanie.

(Anetka i pan Surgères pozostają sami. Krótka pauza).

SURGÈRES *(półgłosem, w największem pomięszaniu).*

— Gdyby pani wiedziała, jak często myślałem o pani od soboty.

ANETKA *(mile dotknięta).*

— Doprawdy?

SURGERES *(z ogniem).*

— Tak, naprawdę tak. — Jeszcze mi nigdy w życiu tak nie było. Przez caluteńki tydzień pani jedna stała mi przed oczyma — tak jak niedawno na balu w Continental — w swojej matowej lila sukni, która kształty pani — u —

ANETKA.

— Pst... mój panie, mogłyby się panu wymknąć słowa, których młodej dziewczynie słuchać nie wolno, — a tem mniej w pobliżu matki. A ponieważ mama prawdopodobnie jeszcze nie wy-

szła.... siadaj pan tutaj przy mnie i nie mów pan tak głośno.

(Młody człowiek wykonuje rozkaz. Siada obok Anetki na kanapie i spogląda na nią ze szczerym podziwem).

SURGÈRES.

— Mój Boże, jaka pani jest piękna!

ANETKA (*z uśmiechem*).

— Często mi to powtarzano.

SURGÈRES (*żywo*).

— Za często. Gdyby pani wiedziała jakie tortury przechodziłem wówczas na balu widząc panią tańczącą z tymi wszystkimi chłystkami, którzy się po każdym walcu cisnęli do krzesła pani... Jak pani potem z nimi rozmawiała i uśmiechała się do nich. Chciałbym wiedzieć, co oni tam mówili pani? —

ANETKA.

— Mniej więcej to samo, co mi pan mówił podczas tańca.

SURGÈRES.

— Ja? — O, to całkiem co innego.

(*Pauza*).

SURGÈRES.

— Czy pani wie, o czem ja myślę w tej chwili?

ANETKA.

— Nie wiem, mów pan.

SURGÈRES.

— Myślę o tem, że niedawno trzymałem panią w objęciach w obliczu całego towarzystwa — cisnąłem panią do piersi — — że usta moje dotykały się prawie twoich obnażonych ramion — a dziś — kiedy jesteśmy całkiem sami, kiedy jest prawie ciemno — może mi pani nawet nie pozwoli ująć się za tę małą, śliczną rączkę —

(Chwyta ją za rękę. Anetka jej nie cofa).

SURGÈRES *(przysuwając się bliżej).*

— Więc pani czuje odrobinę sympatyi dla mnie? —

ANETKA.

— Odrobinę — zapewne.

SURGÈRES *(głosem zakochanym).*

— Ach, — a ja — ja ubóstwiam panią. —

(Pociąga ją do siebie. Młode dziewczę broni się, lecz bardzo słabo. Surgères całuje ją z tyłu w szyję i w koniuszek ucha. Wreszcie uwalnia się z jego objęć).

ANETKA.

— Bądźmy rozsądni. — Zresztą musi pan już iść. Kiedy mamy niema w domu, nie może pan bawić tak długo.

SURGÈRES *(smutno)*.

— Ma pani słuszność. — A kiedyż zobaczymy się znowu?

ANETKA.

— Ależ — kiedy pan zechce. — Co tydzień w dniach, w których mama przyjmuje... Jeżeli pan przyjdzie troszkę wcześniej, będziemy zawsze mogli przez jakąś chwilkę widzieć się sam na sam. A jeżeli pan zręcznie poczynać sobie będzie, może pan prócz tego łatwo raz lub dwa razy w tygodniu zjawić się np. z biletem do teatru, lub — —

SURGÈRES.

— Tak, zapewne. Jednak to nie jest to, czego jabym pragnął — Łaskawa mama pani jest bezwątpienia czarującą i inteligentną kobietą — ale o czemże ja mogę mówić z panią podczas jej ciągłej obecności. Chcę panią widzieć. Panią samą.

ANETKA.

— Tak, mój Boże — bez mamy, nie wiem doprawdy sposobu...

SURGERES *(natarczywie)*.

— Czy pani — nigdy nie wychodzi sama?

ANETKA.

— Całkiem sama? — Broń Boże. — Co najwyżej ze służącą.

SURGERES.

— Ze służącą? — Tę możnaby łatwo przywieść do milczenia. *(Z nagłem postanowieniem)*. Wie pani, mieszkam przy ulicy de Cérisoles, cicha to całkiem uliczka w dzielnicy Marbeu, gdzie żywej duszy nie widać — w parterze na prawo. — Nie trzeba nawet przechodzić mimo loży portyera. A na wypadek, gdyby panią kto ujrzał — mieszka tam także modystka.

ANETKA *(spoglądając mu bystro w oczy)*.

— No, a cóżby pan uczynił, gdybym sama przyszła do niego?

SURGÈRES.

— Ależ — rozmawialibyśmy ze sobą całkiem poufnie, szczerze, — tak jak tutaj. — Miałbym panią więcej dla siebie — dla siebie samego. *(Wzrok Anetki poczyna go mieszać, dodaje więc w błagalnym tonie:)* Pokazałbym pani swoje osobliwości.

(Pauza).

ANETKA.

— Żąda pan, bym go odwiedziła w jego mieszkaniu — chce więc pan zrobić mnie swoją metresą?

SURGÈRES.

— Ależ proszę pani — co pani mówi. — Przysięgam pani, że mi nic takiego nawet na myśl nie przyszło. Jeżeli pani wypełni prośbę moją — nie zapomnę nigdy, że mam przed sobą młodą dziewczynę z dobrego towarzystwa *(szuka odpowiedniego wyrażenia)* — Opuści pani mieszkanie moje taka sama, jaka pani przyszła.

ANETKA *(wstaje)*.

— Do widzenia, mój panie. — Mama może każdej chwili powrócić. Zdziwiłaby się prawdopodobnie, zastając jeszcze pana tutaj.

(*Pan Surgères podnosi się. Obydwoje stoją przez chwilę nieruchomo naprzeciw siebie*).

SURGÈRES.

— Pani się gniewa na mnie — a ja panią tak kocham.

ANETKA.

— Nie mów pan tego. — To chyba żart z pańskiej strony. Jeżeli się młodą dziewczynę kocha, a niema się jej nic do zarzucenia, prosi się o jej rękę poprostu. A d i e u.

SURGÈRES *(waha się jeszcze przez chwilę, potem)*:

— Adieu!

(Po tych słowach odchodzi. Zaraz potem otwierają się cicho drzwi sąsiedniego pokoju i zjawia się pani Leclercq).

PANI LECLERQ.

— No cóż?

ANETKA *(gorzko)*.

— Co? — Tak samo jak z innymi. — Zaproponował mi, bym przyszła oglądać jego osobliwości — przy ulicy de Cérisoles — i zapewniał mnie, że opuszczę jego dom jak dziewica orleańska. — Otóż ma mama.

PANI LECLERCQ.

— Niepodobna — ten zielony młodzik, który robił takie przyzwoite wrażenie!

ANETKA.

— Ba — wszystko to jedno. — Te chłystki dzisiaj, jeden podobny do drugiego. — Znowu jedna więcej omyłka. —

MORDERCA.

(Z AKTÓW SĄDOWYCH).

Zamiast poddawać się męczarni i nudom przesłuchania, postanowiłem raczej, po tem co zaszło, w kilku zwięzłych słowach skreślić moje samowyznanie, którebym w przeciwnym razie musiał składać w śledztwie przed obydwoma nadętymi pustogłowami, sędzią śledczym i prezydentem przysięgłych.

W tym czasie, kiedy byłem jeszcze bogatym, wolnym człowiekiem, obydwaj zbyt często zasiadali przy moim stole, abym mógł mieć jeszcze jakieś złudzenie o ich inteligencyi i przenikliwości.

Skoro będą czytać to, co poniżej opisuję, winni mi podziękować, iż im oszczędzam wysiłku umysłowego, któryby mógł opóźnić ich trawienie, z tego powodu nadto, że w ten sposób uwalniam ich od głupkowatych pytań i od śmieszności, jakąby się niezawodnie okryli, zadając mi takowe.

A więc — zabiłem swoją żonę. Aby oświetlić umysł moich sędziów, zbiorę krótko zewnętrzne okoliczności, które towarzyszyły zbrodni.

Oboje, t. j. ja i żona byliśmy na wieczorku, wydanym przez ministra finansów. Inni goście, którzy tam byli również, nie zauważyli żadnego nieporozumienia, czy rozdrażnienia pomiędzy nami. Taksamo pokojowiec, który nas oczekiwał w domu, oświadcza, żeśmy dnia tego w niczem nie odstąpili od naszego zwyczajnego trybu życia, aż do tej chwili, kiedy nas opuścił, podawszy nam jeszcze lekką kolacyę i odebrawszy niektóre zarządzenia na dzień następny.

W godzinę później, może około trzy kwadranse na drugą, spłoszył naszych ludzi ze snu huk trzech wystrzałów. Wpadli do naszego pokoju i zastali moją żonę, rozciągniętą w koszuli u stóp łóżka — we krwi, która się lała z trzech ran na jej piersi — i mnie we fraku, z rewolwerem w ręku, opartego o gzyms kominka.

Co do osoby mordercy nie mogło więc być żadnej wątpliwości; nie wypierałem się też zgoła. Pozwoliłem się spokojnie zaprowadzić do więzienia i oświadczyłem, iż zabiłem swoją żonę, ponieważ mnie zdradzała.

Na wszystkie pytania, w jaki sposób odkryłem hańbę swoją, nie dawałem odpowiedzi i aż do tej chwili nie zmieniłem swego postępowania. Dziś jednakże zdecydowałem się przytoczyć swoje powody. Podaję je jednak, nie robiąc sobie przytem żadnych złudzeń. Są one bowiem zbyt subtelnej natury, by je miało zrozumieć dwunastu sławetnych

poczciwców — kramarzy czy rentierów — którzy w najbliższym czasie mają mnie sądzić.

Przyczyny czynu, który popełniłem, jakoteż rozpoznania straszliwej prawdy, która była pobudką mojej zbrodni, należy szukać w bliższych okolicznościach małżeństwa naszego, w charakterze mojej żony i w jej wychowaniu.

Dziewicze jej nazwisko było: Joanna de Carnoules. Należała, jak każdemu tutaj wiadomo, do jednego z najstarszych rodów szlacheckich. Wychowała się w starożytnym zamku Carnoules'ów. Ojciec jej zidyociał wskutek upadku z konia, reszta rodziny składała się z trzech kobiet: matki Joanny, ciotki, babki, wszystkie trzy były bardzo pobożne, prawdziwe mniszki.

Krach »Spółki generalnej« zrujnował najzupełniej rodzinę Carnoules'ów, pozbawiając ich ostatniego grosza, ostatniej skiby, ostatniej cegły w starem zamczysku.

Wszystkie trzy kobiety, które wychowały Joannę, stały wobec tej katastrofy zupełnie bezbronne; lada dzień miano je, wraz z niedołężnym starcem i młodą dziewczyną, wyrzucić poprostu na bruk.

Joanna chciała iść do klasztoru. Wtedy począłem starać się o jej rękę.

Byłem dopiero od kilku miesięcy w owej miejscowości, w charakterze kierownika kopalni, a już zakochałem się aż do utraty zmysłów w madon-

nowej tej twarzyczce młodego dziewczęcia z jej melancholijnie wniebowziętym wyrazem.

Na krótko przed bankructwem wyśmianoby mnie na zamku i precz odprawiono. Nieszczęście jednak zdruzgotało wraz z mieniem i rodowe skrupuły: przyjęto mnie z otwartemi ramionami.

Byłem bogaty i więcej niż bogaty, bo zajęcie moje przynosiło mi rokrocznie formalny majątek. Odkupiłem Carnoules i zaspokoiłem wierzycieli. Starcowi i trzem białogłowom zapewniłem dostateczną rentę — i Joanna została moją żoną.

Nie potrzebuję dodawać, że była bardzo pobożną. W tym czasie, kiedy wstępowała w związki małżeńskie, dochodziła jej pobożność aż do egzaltacyi, było w niej coś z świętej Teresy lub Maryi Małgorzaty.

Od tej przesadnej religijności odwiodło ją na pewien czas małżeństwo, gdyż — lekarze twierdzą, że to się zdarza dość często i zupełnie jest naturalne — ta, tak surowo wychowana dziewczyna, poznawszy raz miłość, została jej oddaną i ognistą kapłanką.

Toż w pierwszych dwu latach była mi więcej metresą niż żoną. Miłowałem ją aż do duchowego i fizycznego wyczerpania. Z biegiem czasu ostygło nieco płomienne pożądanie, jak wogóle każda ludzka namiętność.

Byłem teraz mniej kochankiem swojej żony, a więcej jej przyjacielem. Cierpiała prawdopodob-

nie wskutek tego, ale była nader dumną, a przytem bardzo łagodną — ukrywała swe cierpienia przedemną, lub ja nie umiałem ich poznać.

Zauważyłem, że pobożność jej pogłębiła się znowu, podjęła napowrót praktyki religijne, zaniedbane nieco przez czas naszej wielkiej miłości. Próbowała nawet robić prozelitów, wysyłała często domowników naszych do spowiedzi, a nawet spostrzegłem parę nieśmiałych usiłowań celem mojego nawrócenia.

Jestem ateistą. Wierzę tylko w siły przyrodzone, których przyczyny mogę wyśledzić, i to wystarcza mi w zupełności do zrozumienia świata. Wyznaję, choć to może wyda się dziecińśtwem: nie potrafię niekiedy wstrzymać się, by nie kpić z religijnych obrzędów. Widok zewnętrznych ceremonii i kosztownej wystawy, która się często łączy z nabożeństwem, wprawia mnie w pewnego rodzaju rozdrażnienie. Nie mogę sobie wtedy odmówić, by nie robić jadowitych uwag, co gorzej pogardliwych gestów, które mi zjednały zgoła niezasłużony rozgłos nietoleranta i człowieka źle wychowanego.

W nasz wieczór ślubny ujrzałem jak Joanna już na poły rozebrana, klęczała przed łóżkiem, na którem miała zostać moją żoną, i długo się modliła. Dotknęło mnie to niemile i rozstroiło. Atoli z obawy, by nie wywoływać jej niezadowolenia, zapanowałem nad sobą; pokonywałem się i następnych dni, aż doznałem wreszcie egoistycznego tryumfu, uczu-

wszy, że mnie zaczyna kochać. Wtedy pozwoliłem sobie na cały szereg mniej lub więcej subtelnych docinków, w sarkastyczny lub wolnomyślny sposób zaznaczając swoje stanowisko, podczas gdy moja żona, niezrażona wcale, modliła się co rano i co wieczór. Wytrwała w tem łagodnie ale stanowczo i puszczała mimo uszu moje przytyki. W gruncie rzeczy musiałem podziwiać uporczywość, z jaką w dalszym ciągu wierną była swojemu kultowi — uporczywość, która wytrwale stawiała czoło wszelkim atakom.

Tak upływały dni, miesiące i lata. Moja żona zbliżała się do trzydziestego roku życia, ja skończyłem lat czterdzieści. Wypalił się już we mnie ogień młodzieńczy, zmysły moje oziębły, kochałem Joannę głęboką, beznamiętną prawie tkliwością.

Dawała mi szczęście, a to ciche domowe szczęście w połączeniu z poważną, absorbującą mnie pracą, czyniło mnie ślepym na to, iż jakaś niewidzialna i nieuchwytna przyczyna podkopywała zwolna siły i zdrowie młodej jeszcze kobiety. Była jeszcze ciągle piękną, lecz choroba, która ją trawiła, postępowała krok za krokiem; wszyscy to czuli, widzieli — prócz mnie.

Nigdy mi nie postała myśl w głowie, żeby Joanna wówczas, kiedy mąż przestał być jej kochankiem, mogła gdzieindziej szukać zastępstwa. Bezwiednie czułem się bezpiecznym, znając jej religijność, prostotę jej duszy, nienawiść ku wszel-

kiej obłudzie i kłamstwom, która stanowiła główny rys jej charakteru.

Potem — może będzie trzy miesiące temu — zaszła widoczna zmiana w jej usposobieniu, tak widoczna, że mnie zafrapowała, pomimo mojej dotychczasowej obojętności. Moja żona, która już od kilku lat zdawała się zadawalniać rolą mojej towarzyszki i przyjaciółki, wyraźnie dała mi uczuć, że pożąda czegoś więcej, niż sympatyi mojej, że tęskni za pieszczotami.

Wtedy honor mój i moje szczęście były jeszcze nietknięte. Odemnie tylko zależało uratować Joannę i siebie. Naturalnie pozwoliłem zmarnować się tej możliwości. W egoizmie swoim poświęciłem spokojowi zdrowie i zadowolenie swojej żony. Musiała prawdopodobnie odczuć, że mi jej doraźnie objawione życzenia fizycznej miłości nie były na rękę, gdyż w końcu zrezygnowała z nich zupełnie. Spostrzegłem, że, jak zawsze w podobnych wypadkach, podwoiła swoją nabożność, szczególnie modlitwy wieczorne były odtąd dłuższe, gwałtowniejsze, gorętsze i czasem, kiedy się podniosła z klęczek, żegnając się po raz ostatni, twarz miała łzami zalaną.

Tak żyliśmy aż do 29 maja, do dnia zbrodni. Przepędziłem go tak, jak wszystkie dni inne. Byłem zajęty częścią w kopalni, częścią w biurze. A Joanna? Dochodzenia wykazały później, że wyszła z domu i była około trzech godzin nieobecną,

ale nikt nie mógł lub nie chciał dać wyjaśnienia, gdzie je przepędziła. Widziałem się z nią przy obiedzie, który spożyliśmy dosyć szybko i prawie w milczeniu. Następnie przebraliśmy się na raut u ministra. Tam rychło nas rozłączono. Moja żona siedziała w pierwszym rzędzie gości, otoczona gronem, które zwykle koło niej się gromadziło, bez żadnej zresztą z mojej strony obawy. Ja sam — nienawidzę bowiem muzyki — schroniłem się do parku i paliłem tam swoje cygaro w towarzystwie młodego, inteligentnego urzędnika. Ten młodzieniec musiał potem zeznać, że byłem zupełnie spokojny i absolutnie nie wyglądałem na człowieka, który ma zamiar w kilka godzin później zamordować swoją żonę.

Pragnę być zwięzłym i pominę wszystkie nic nieznaczące szczegóły, które kolejno na jaw wydobyto, i które każdemu są znane. Przejdę odrazu do chwili, kiedy po wieczorze znaleźliśmy się razem w domu. Służący wyszedł i byliśmy sami w sypialni.

Jak zwykle nie rozmawialiśmy ze sobą. Joanna rozbierała się powoli. Ja stałem przy kominku i badałem ładunek u rewolweru, który w nocy zawsze mam pod ręką. Zachowałem to przyzwyczajenie od czasu pobytu swego w Ameryce.

Nagle uderzyła mnie jedna rzecz, jedna niezwykła okoliczność. Moja żona podeszła ku łóżku, odrzuciła kołdrę, wsunęła się pod nią i wtuliwszy

głowę w poduszki, ułożyła się do snu — — nie odmówiwszy swojego zwykłego pacierza. Wiem dobrze, że ci, którzy to czytają, nie będą w stanie odczuć zdumienia i wstrząśnienia, jakie wywołał we mnie ten pozornie drobny i błahy szczegół. Przeraziło mnie to i zaskoczyło tak, jakgdybym — jakiegoż mam użyć porównania? — jakgdybym naprzykład ujrzał, że jakiś mężczyzna całuje w usta moją żonę.

Nie mogłem się pohamować; zbliżyłem się do łóżka i zawołałem na nią po imieniu:

— Joanno!

Rozwarła oczy z trudnością i odpowiedziała blednąc:

— Co, mój drogi?

Zmusiłem się do uśmiechu i zapytałem:

— Mówiłaś dzisiaj pacierze?

Przymknęła znów oczy, jakby chcąc wzrok mój wyminąć i bąknęła: — Nie, — tak cicho, żem zaledwie mógł dosłyszeć. Nie zostawiłem jej jednak w spokoju:

— Dlaczego nie modliłaś się jak zwykle? Czyżby mi się udało nawrócić cię do swoich przekonań, najdroższa?

Tym razem nic nie odpowiedziała, tylko wtuliła się napowrót głęboko w poduszki, jakby pragnęła usnąć. Gdyby iskra piorunowa przeleciała teraz przez moją głowę myśl okropna: w duszy żony mojej musi panować straszne rozsprzężenie,

którego widomym znakiem było zaniedbanie zwykłej modlitwy.

Jestem bardzo gwałtowny, a nawet popędliwy, chociaż nie tak łatwo doprowadzić mnie do gniewu. Ogarnęła mnie chęć porwać za te nagie ramionka, wybłyskujące z pod kołdry, potrząść niemi w żelaznym uchwycie, zmiażdżyć je, ażby ból otwarł wargi, zaciśnięte upartem milczeniem.

A jednak zmogłem się. Ukląkłem przed łóżkiem i tuż u jej ucha szeptały z trudem moje wargi:

— Przebacz mi, dziecię, wiem, że to jest rzecz głupia i śmieszna, tak nalegać na ciebie. Ja, który tylekroć po błazeńsku szydziłem z twojej bogobojności, nie mam żadnego prawa pytać cię, dlaczego się nie modlisz. Ale bądź dobrą, odpowiedz mi. — Powiedz tylko: to kaprys, — a będę zadowolony.

Znowu — żadnej odpowiedzi. Podniosłem się z klęczek. Zerwałem z niej kołdrę, aby ją zmusić do powstania. Zerwała się; oczy jej rozwarły się szeroko, a ja w tej chwili wyczytałem w nich przyznanie się do winy i... strach przed śmiercią.

— Odmów pacierz, — począłem na nowo. — Uklęknij tu — tutaj — i przeżegnaj się dwa razy. Niczego więcej nie żądam od ciebie. Jeśli się będziesz wzbraniać, uwierzę, że zostałaś dzisiaj prostytutką i nie śmiesz już nawet modlić się.

Poruszyła wargami, ale żaden dźwięk nie wyszedł z jej ust. Wziąłem rewolwer z kominka

i ciągnąłem dalej, trzymając broń w ręku, z lufą zwróconą ku ziemi.

— Wyznaj, że to prawda. Masz kochanka. Oddałaś się dzisiaj obcemu mężczyźnie. Zaprzecz mi, żądam tego. Albo nie zaprzeczaj, tylko się pomódl.

Nie poruszyła się, nie rzekła ani słowa. Tylko źrenice jej zwiększyły się jeszcze w rozszerzonych orbitach i upadły nieruchomie na moją prawą rękę, w której trzymałem broń. Śledziły każdy jej ruch, podczas gdy podnosiłem lufę, kierując ją ku jej nagiej piersi.

— O mój Boże, o mój Boże, — poczęła jęczeć. Nie pytałem już więcej. Miałem pewność. Pocisnąłem języczek trzykrotnie. Trzy kule ugrzęzły w jej piersi, dopiero za trzecim razem upadła przed łóżkiem, zbluzgana krwią.

Oparłem się o gzyms kominka i czekałem...

— — — — — — — — — — — — — — —

Przez cały miesiąc myślałem w samotni więziennej o mym czynie i badałem sumienie. Dopóki moja żona żyła, nie byłem dla niej dobrym mężem, w tem leży moja wina. Atoli w tym dniu, kiedy ją zabiłem, byłem w swojem prawie jako mąż, którego ona zdradziła.

Jestem przekonany o tem — stokroć przekonany, tak przekonany, jakobym własnemi oczyma oglądał jej hańbę, — tak przekonany, jak o swoim własnym rozsądku — i nie żałuję tego, co zrobiłem.

Nie troszczę się o to, czyli prokurator i sędziowie przysięgli podzielają moje przekonanie, czy nie. Może uznają mnie za waryata. Mniejsza o to. Własne sumienie mówi mi, że byłem jedynie wykonawcą sprawiedliwości.

ODWIEDZINY NA CMENTARZU.

Z największą w świecie regularnością, jak to przystoi dobremu urzędnikowi administracyjnemu, zwykł był pan Maurycy Dautricourt, radca departamentu Euve, pozwalać sobie na maleńki wybryk.

W każdą sobotę wyjeżdżał pociągiem popołudniowym, lekkim tylko pakunkiem wyekwipowany, do Paryża. Z torbą podróżną w ręku, dążył ku ulicy d'Amsterdam, a idąc nią może jakie sto kroków, dochodził do domu pod Nr. 58. Schodami, bez dywanów wprawdzie, ale czysto utrzymywanymi, piął się w górę i dzwonił na drugiem piętrze u drzwi, na których była umieszczona tabliczka: »*Mlle Grave, modystka*«.

Na odgłos dzwonka ukazywała się w otwartych drzwiach mała, rozczochrana główka panny sklepowej z pyszczkiem wytrawnej kokietki i poznawszy gościa, wracała do pracowni, aby go zapowiedzieć:

— Panno Grave, łaskawy pan przyjechał, —

podczas gdy wymieniony stawiał w przedpokoju kuferek podróżny i zdejmował płaszcz z ramion.

Zaprzyjaźnili się z sobą pewnej soboty całkiem przypadkowo w teatrzyku bulwarowym. Marta Grave, która miała przy sobie piętnastoletnią może dziewczynę, siedziała obok Dautricourta. Była ubrana bardzo gustownie i w potokach światła wydała mu się bardzo ładną ze swoją cerą koloru kości słoniowej i swoim czarnym, połyskującym włosem. Radca zachował się odrazu jak człowiek dobrze wychowany, udzielał jej swojej lornetki, wymieniał nazwiska aktorek, a po przedstawieniu zaprosił damy na filiżankę czekolady. Tak zrobiono bliższą znajomość. Dautricourt przedstawił się i dowiedział, kto była jego sąsiadka, i że mieszka sama w Paryżu. Matkę straciła, stary ojciec żyje w Coubert w okolicy Brie, na folwarczku,— pewnego rodzaju wzorowem gospodarstwie, które prowadzi najstarsza siostra Marty. Najmłodsza bawi jeszcze w klasztorze Brie-Comte-Robert. Przyjeżdża trzy lub cztery razy do roku do Paryża i wówczas prowadzi ją Marta do teatru, aby jej zrobić przyjemność.

Radca odprowadził obydwie siostry do domu, do ich mieszkania przy ulicy d'Amsterdam. Podał Marcie ramię i odważył się od czasu do czasu na znaczący uścisk. W miarę jak zbliżali się ku domowi, stawał się coraz natarczywszy. Ale panna Grave szepnęła, pokazując wzrokiem młodszą siostrę:

– Dziś wieczór nie można. Niech mnie pan odwiedzi w najbliższą sobotę...

Tak uczynił i odwiedzał ją odtąd co tydzień, zostając od soboty do poniedziałku, z wyjątkiem kilku tygodni w roku, kiedy mała bawiła u siostry. Wtedy nie wyjeżdżał Dautricout na niedzielę z Evreux, a nudy, jakie przebywał, robiły mu najbliższe spotkanie z kochanką podwójnie miłem.

Marta i on byli jakby stworzeni dla siebie: oboje odznaczali się zamiłowaniem porządku, poprawnością w ubiorze i formach zewnętrznych i oszczędnością. Zwykle dawał pieniądze swojej kochance. Nie wiele tego było, gdyż nie posiadał żadnych bogactw, a e skąpstwo nie leżało w jego naturze i dawał, ile właśnie był w stanie. Marta przyjmowała, chociaż jej interes modniarski był znacznie intratniejszy, niż jego posada urzędnicza, gdyż hołdowała rozpowszechnionemu we Francyi zapatrywaniu, że względy kobiety powinno się zawsze opłacać, choćby tylko dla zadosyćuczynienia formie. Okoliczność ta jednak nie uwłaczała jej uczuciom ku Dautricourt'owi: kochała go szczerze i była mu wierną.

Znajdowała go dystyngowanym i rozumnym; podziwiała w nim nienaganne maniery dobrze zakonserwowanego 35-letniego mężczyzny.

Pewnej soboty w czerwcu, około godziny jedenastej przed południem, powrócił radca właśnie z trzydniowej podróży inspekcyjnej do domu i zastał

w swojej skrzynce na listy czarno obwiedzioną kopertę z paryską marką pocztową. Otworzył ją i przeczytał:

»Panie Dautricourt!

Z boleścią przychodzi mi pana zawiadomić, że moja siostra Marta Grave, którą Pan zaszczycał swojemi odwiedzinami, umarła nagle we wtorek na serce. Jestem z najstarszą siostrą w Paryżu. Ciało ma być jutro przewiezione na cmentarz i sądzę, że miło Panu będzie, w tem uczestniczyć. Moja najstarsza siostra odjeżdża zaraz potem, gdyż obecność jej niezbędną jest na folwarku Coubert.

Ja zostaję jeszcze, aby interesa uporządkować.

— Pogrzeb odbędzie się jutro rano, o godzinie dziesiątej.

Polecam się Panu, Panie Dautricourt, jako kochająca siostra zmarłej *Marya*

P. S. Jestem ta sama, która wtedy — pierwszy raz — była z Martą w teatrze«.

Radca pobladł przy czytaniu tego listu. Nie jest się nigdy obojętnym na śmierć kobiety, z którą się długo dzieliło uciechy miłości.

Dautricourt poczuł swędzenie w powiekach, jak gdyby jego, dawno już od płaczu odzwyczajone oczy, usiłowały łzami się zalać.

Usiadł i westchnął:

— Biedna dziewczyna!

I do rozgoryczenia na śmierć, która zagrabiła blizką mu istotę, dołączyło się samolubne ubole-

wanie nad zakłóceniem, którego przez to doznało własne jego życie. Cóż stanie się teraz z jego niedzielami? Biedna Marta! Wszystko przeszło, nie zobaczy jej już nigdy. Przyszło mu na myśl, że w dziwnem świetle pokazał się mieszkańcom domu i obudwu siostrom , nie zjawiając się wcale na pogrzebie. Myśl, jak sobie to będą prawdopodobnie tłómaczyć, sprawiła ból jego sercu, a zarazem zraniła poczucie przyzwoitości, jakie leżało w jego naturze. Jaka szkoda, że listu nie wysłano za nim! Byłby przynajmniej mógł widzieć jeszcze raz mieszkanie swej kochanki, jej pokój, pracownię i salon, w którym paradowały damskie kapelusze na swoich drewnianych postumentach. Potem przypomniał sobie nagle, że u Marty znajdowała się jeszcze jego nocna bielizna, brzytwa, portret i kilka jego listów. W jednej chwili stanęło w nim postanowienie.

— Muszę jechać, — pomyślał.

Za kwadrans odjeżdżał pociąg, którym zwyczajnie wyjeżdżał. Szybko poczynił przygotowania i pospieszył na dworzec. O zwykłej godzinie zadzwonił u drzwi swojej kochanki.

Nie poznał świeżej, młodej blondynki, która mu drzwi otworzyła, domyślił się jednak, że to będzie najmłodsza siostra Marty.

— Jestem Dautricourt, — przedstawił się.

Poczerwieniała mocno i cofnęła się w tył.

— Proszę, wejdź pan do salonu.

Weszła razem z nim i usiadła naprzeciw. Zaczął się tłómaczyć, dlaczego nie przybył na pogrzeb i opowiadać jej o swojej podróży inspekcyjnej. Cisza, która panowała teraz w mieszkaniu, ożywionem dawniej gwarem sąsiedniej pracowni, a jeszcze bardziej towarzystwo młodej dziewczyny, wprawiły go w pewne zakłopotanie. I w swem zakłopotaniu zaczął, jak to zwykł był czynić w salach sądowych w Evreux, wyrażać się w sposób oficyalny.

Marya Grave dobyła chusteczki i szlochała cichutko. To wyprowadziło go już całkiem z równowagi. Milczał i oglądał się dokoła. Drewniane podstawki przybrane w najrozmaitsze nakrycia, stały na zwykłych miejscach. Na sofie zaś leżał wieniec grobowy, który uwięził jego wzrok, wieniec z czarnych i białych pereł z szklanym pośrodkiem, wyglądającym jak próżna żałobna bomboniera, — a na nim napis: *»Spoczywaj w pokoju«*.

Młoda dziewczyna przestała płakać:

— Popatrz pan na wieniec! Kupiłam go wczoraj wieczór; czy nie ładny? Kosztował 22 fr.

Dautricourt podniósł się i oglądał wieniec z miną znawcy. Następnie usiadł znowu i wyrzekł:

— Tak, wart tyle z pewnością. Jest bardzo ładny.

Marya osuszyła swe łzy i przypatrywała się również z podziwem wieńcowi.

Młodemu mężczyźnie przyszła do głowy myśl:

— Czy mi pani nie pozwoli, panno Maryo, ten wieniec... — zmieszał się nagle — pamięci — krótko, — ponieść koszta tego wieńca?

Marya zamyśliła się i odparła wkońcu:

— Nie, widzi pan, jabym się także chciała przyczynić — ale, kiedy pan chce, możemy się podzielić kosztami?

Tak oboje byli zadowoleni. Układy te zbliżyły ich do siebie i rozpoczęli teraz poufałą rozmowę. Marya opowiedziała mu wypadki ostatnich dni: jak na folwark przybył ekspres z telegramem o chorobie Marty i prośbą, by natychmiast przyjeżdżać; jak jechały nocą ze starszą siostrą i jak za swem przybyciem zastały Martę już martwą, a przy zwłokach na straży duchownego i żonę portyera.

— A potem pogrzeb i dużo innych utrapień, — dodało dziewczę ze znaczącym wyrazem, który komicznie odbijał od jej energicznie zarysowanych ust. — Moja starsza siostra nie mogła dłużej zabawić i tak ja sama muszę załatwiać z notaryuszem kwestyę spadku. Nie wiemy też dotąd, co robić z całym interesem. Objęłaby go dyrektorka, ale daje za mało. Chwilami bierze mnie chętka wziąć wszystko na własne barki. Rozumiem się wcale dobrze na szyciu; w klasztorze przecież kierowałam szwalnią, a sądzę, że wnetbym się na-

uczyła ubierać kapelusze. Tylko tak samej zostać w Paryżu — ciarki mnie trochę przechodzą.

Dautricourt słuchał; znajdował ją zabawną i czarującą. Kiedy wspomniała o spadku, pomyślał sobie, że jego pieniądze, te pieniądze, które dawał Marcie, a które ona regularnie składała w kasie oszczędności, staną się teraz własnością tej rzeźkiej, dzielnej, małej wieśniaczki i myśl ta była mu przyjemną.

Rozważał, w jakiby sposób skierować rozmowę na swoje rzeczy, po które właściwie przyjechał: koszule nocne, brzytwę i portret. Atoli wydało mu się niestosownem tę bądź co bądź poufną sprawę omawiać z młodą dziewczyną, postanowił więc napisać do najstarszej. Potem wstał, aby się pożegnać.

Lecz Marya zrobiła zdziwioną minę.

— Co, pan chce już uciekać? Nie pójdzie pan ze mną?

— Z panią? Dokąd?

— Na cmentarz, ma się rozumieć — wieniec złożyć na grobie. To niedaleko stąd. Przy końcu ulicy d'Amsterdam, na cmentarzu Montmartre.

— Ależ naturalnie, proszę pani, — odpowiedział radca. — Będę pani towarzyszył z największą przyjemnością. Weźmiemy dorożkę.

— Wyborna myśl, — pochwaliła Marya, — weźmiemy dorożkę, by zawieźć wieniec. Z powrotem możemy iść piechotą. Zaraz włożę kapelusz.

Zostawiła go samego w salonie. I przez w pół otwarte drzwi zdawały się cicho wsuwać melancholijne wspomnienia, które zaludniły pusty pokój i młodemu mężczyźnie zmarłą kochankę przywiodły na pamięć. Jął myśleć o wszystkich pieszczotach, których świadkami były te meble, i znów o okropnym kontraście między wieczystemi prawami miłości a śmierci.

To też z prawdziwą ulgą powitał wchodzącą Maryę, tak ładnie wyglądającą w czarnej sukni i czarnym kapeluszu z welonem z angielskiej krepy.

Około godziny trzeciej wysiedli z dorożki pod żelazną kratą cmentarza Montmartre. Dautricourt przewiesił wieniec przez swe ramię, drugie podał Maryi. Tak weszli w ten ogród śmierci. Szli powoli i milcząco po świeżo żwirem wysypanej ścieżce, w jaskrawem słońcu, w którego promieniach połyskiwały gładkie liście krzów bukszpanowych i kamienie monotonnych nagrobków.

Obydwoje byli zgrzani i zmęczeni. Aby coś powiedzieć, zapytał radca:

— A wyzna się pani tutaj?

— Owszem, — odrzekła młoda dziewczyna, — pamiętam drogę bardzo dobrze.

Opuścili główną aleję i skręcili w mniejszą, która prowadziła na prawo. Groby przysunęły się tutaj bliżej do siebie i wyglądały skromniej. Lecz w tym zakącie cmentarza i drzewa rosły gęściej. Sądziłbyś, że biedacy, których tu pochowano, pra-

gną nawet po śmierci spoczywać w cieniu, tak jak przez całe życie szli ukradkiem i w ciemności.

W górze, wśród gałęzi drzew ćwierkały wróble. Przed nieozdobnem zgoła ogrodzeniem zatrzymała się Marya.

— To tu, — rzekła i przeszła przez drewniany opłotek.

Dautricourt poszedł za jej przykładem i obydwoje znaleźli się przed małym krzyżem z czarnego drzewa. Był on całkiem nowy i błyszczał, jakby farba nie zupełnie jeszcze obeschła. Radca przeczytał napis. Pomiędzy dwoma pionowo namalowanemi łzami stało w białych literach: »Marta Grave«, z datą urodzenia i śmierci.

Młoda dziewczyna, objąwszy grób spojrzeniem zapobiegliwej gospodyni, rozpostarła na ziemi chusteczkę i uklękła. Dautricourt pozostał w postawie stojącej, zdjął jednak kapelusz z głowy i przybrał nabożną minę.

Nie myślał o niczem. Droga, upał i nieprzewidziane wypadki raniejsze poplątały mu myśli. Nagle usłyszał stłumione łkanie obok siebie; łkanie to poruszyło mu serce; — wszystkie wstrząśnienia moralne, które przebył w dniu dzisiejszym, odżyły w nim na nowo. Świeżo narzucona ziemia, groby okolone bukszpanem i cyprysami, — wszystko to ściemniało nagle przed jego wzrokiem, jakby przeciągająca chmura zasłoniła na chwilę słońce.

Ból szarpnął jego nerwami, a w tym bólu

uczucia jego ku żywej i jego smutek za zmarłą spłynęły niespostrzeżenie razem.

Biedna Marta! Widział ją teraz przed sobą, taką bladą i zmęczoną, jaką widywał za życia, szczególnie w ostatnich tygodniach. Wszak ona była jedyną istotą, która od lat dziesięciu, od śmierci jego matki, miłość mu niosła w darze. Dreszcz go przechodził, kiedy pomyślał o życiu, które teraz leżało przed nim, bezsłoneczne życie zawodowe, nierozjaśniane już nadzieją niedziel, przepędzanych wspólnie, życie, które miało odtąd upływać pomiędzy czczą pracą urzędową i rozrywkami kawiarnianemi.

Ta myśl o sobie samym uświadomiła mu z podwójną siłą jego stratę i szybko starł przelotną łzę, która zaszkliła mu w oku.

W tej chwili podniosła się Marya. Poznała, że płakał. Ta obopólna boleść, która, gdyby obraz w dwu naprzeciw siebie ustawionych zwierciadłach, podwoiła się wskutek odbicia, popchnęła ich ku sobie i rzuciła w uścisk wzajemny, jak to czynią krewni przy trumnie drogiego im wspólnie nieboszczyka. Radca przycisnął swe usta do zalanych łzami policzków młodej dziewczyny. Odsunęła go łagodnie i rzekła zarumieniona i nieco pomieszana:

— Pójdziemy?

Dautricourt skinął przyzwalająco. Oboje opuścili grób i wracali tą samą drogą, którą przyszli.

Marya szła przodem, niema, z oczyma utkwionemi w ziemię. Pierś jej podnosiła się nieregularnie, ilekroć nowa fala smutku napełniła ją łkaniem. I jak każdego na wzruszenia uczuciowe wrażliwego mężczyznę, który widzi ładną kobietę płaczącą, brała młodego radcę ochota pochwycić Maryę w ramiona i szeptać jej słowa tkliwej pociechy.

Skoro przybyli do bram cmentarza, zdawała się Marya znowu przychodzić do siebie.

— Teraz pana opuszczę, — odezwała się, — muszę iść do notaryusza, a i pan zapewne ma do załatwienia swoje sprawy.

— Dautricourt nie miał żadnych spraw do załatwiania, jednak w istocie niezwykłe napięcie, w którem od rana pozostawały jego nerwy, poczynało go nużyć; to też rzekł zwolna:

— A tak, muszę wstąpić do ministeryum.

Potem, kiedy mu spojrzała w oczy, uczyniło mu się boleśnie, że ją już musi opuścić i obudziło się w nim pragnienie zobaczenia jej jeszcze.

Pod tem wrażeniem zapytał:

— Możeby pani była tak łaskawą zjeść obiad razem ze mną dziś wieczór?

Zrobiła znowu swoją dawną ucieszną, zamyśloną minkę.

— Ależ owszem, przecież jestem sama. Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność. Gdzież będziemy jedli? W pańskiej restauracyi przy ulicy Maubenge — nieprawdaż?

— Pani zna ten lokal?

— O, znam go bardzo dobrze. Bywałam tam zawsze z Martą, ile razy przyjechałam do Paryża.

— Zgoda więc. A o której godzinie?

— O siódmej. Spotkamy się przed biurem omnibusów koło Notre-Dame.

Uścisnęli sobie dłonie. Dautricourt patrzał, jak się jej czarna postać oddalała w oślepiającem świetle słonecznem. Znikła na rogu ulicy. Teraz i on wybrał się w dalszą drogę i szedł prosto wzdłuż bulwarów ku Arc des Etoiles i Polom Elizejskim. Przechodził koło wielu kobiet: dam, za któremi toczyły się szłapią ich powozy, służebnych, wyrobnic i takich, które kupczyły miłością.

Prześladowała go jedna myśl — myśl, której tyle miłosnych stosunków zawdzięcza swoje długie trwanie.

— Za stary jestem, bym nawiązywał nowy stosunek.

I za każdym razem odpowiadało coś z najgłębszych tajników jego serca:

— Ależ bynajmniej. Dlaczegóżby nie z siostrą, skoro mieszka w Paryżu? Nie wygląda wcale na świętą Agnieszkę.

Był tak zdenerwowany, że go brała chętka z pięściami rzucić się na przechodniów, wszedł wreszcie do jakiejś kawiarni i począł czytać dzienniki. Przeczytał wszystkie od pierwszej strony aż do

anonsów, jakby miał za zadanie wyuczyć się ich na pamięć, — dopóki nie zbliżyła się pora schadzki koło Notre-Dame de Lorette.

Marya była bardzo punktualna. Biła właśnie siódma godzina, kiedy nadeszła; on już od dwudziestu minut był na miejscu.

Uśmiechnęli się do siebie i oboje radzi byli, że się widzą znowu. Skierowali się do restauracyi i usiedli przy tym samym stoliku, co dawniej.

Obiad miał przebieg wesoły. Przyszło to całkiem naturalnie. Jak ludzie, którzy zawarli ze sobą milczącą ugodę, że już zmartwienia mają do syta, nie mówili już wcale o Marcie. Marya opowiadała o swej młodości, o folwarku, klasztorze i o szwalni.

Z każdą chwilą nabierała animuszu i dowcipu. Panowie od sąsiednich stolików rzucali w ich stronę znaczące spojrzenia. Dautricourt, który je zauważył, wcale się o to nie gniewał.

Potem mówili o przyszłości i o tem, czy Marya ma pozostać w Paryżu, czy interes powierzyć komu innemu.

Dautricourt był za tem, żeby została. Ona miała pewne skrupuły, mówiła o swem niedoświadczeniu, lękała się samotności...

— Każdej chwili może pani mną rozporządzać, — odparł radca.

Wziął ją za rękę i uścisnął czule. Pomiędzy

słowami, które wypowiadali, czytali sobie nawzajem myśli, których wypowiedzieć nie śmieli.

Podczas deseru odważył się młody mężczyzna wspomnieć o swoich listach, portrecie i brzytwach. Siostra Marty przypomniała sobie, że widziała te rzeczy; umówili się, że radca zabierze je sobie wieczorem, kiedy Maryę odprowadzi do domu, a potem powróci do Evreux pociągiem, który odchodzi o dziesiątej, minut dwadzieścia.

Po kawie z likierem porzeczkowym opuścili lokal.

Szli szybko ulicą d'Amsterdam aż do Nr. 58. Marya znalazła wszystkie wspomniane przedmioty, obwinęła je w gazetę i związała w pakiecik. Radca z kapeluszem w ręku świecił jej. Drżała trochę.

Kiedy już wszystko było gotowe, stali przez chwilę naprzeciwko siebie, spoglądając jedno na drugie. Dautricourt rzekł cicho:

— No, a teraz musimy się pożegnać.

Jak przedtem na cmentarzu, tak i teraz na myśl o ostatecznej rozłące ogarnął go głęboki smutek. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zamyślił się:

— Głupia to po prostu sprawa, tak odjeżdżać, — i znalazł środek przeciągnąć jeszcze chwilę rozstania.

— Zanim jednak odejdę, chciałbym jeszcze raz ujrzeć pokój Marty — raz ostatni.

— Proszę, — wyrzekła niepewnym trochę głosem, a Dautricourt pomyślał:

— Jeżeli teraz nie odważę się na krok stanowczy, przepadnie wszystko; nie zobaczę jej już nigdy.

Poszła. Kiedy weszli do sypialni i Marya postawiła świecę na stoliczku nocnym, zebrał całą swoją odwagę, ujął młodą dziewczynę silnie w ramiona i jął całować, co mu się nawinęło pod usta: jej twarz, włosy, piersi. Broniła się i wyjąkała:

— Czy pan oszalał — co to ma znaczyć?

On zaś pociągnął ją ku łóżku. Wtedy zręcznym gestem udanej niewinności zdmuchnęła świecę i opór jej złagodniał nagle.

— — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz wieczór odprowadziła Marya radcę na kolej. W poczekalni omawiali po raz ostatni swoje plany. Marya zdecydowała się objąć interes po siostrze, tak mogli się widywać co tydzień.

Był najwyższy czas do odjazdu. Dautricourt usiłował młodej dziewczynie wcisnąć w dłoń błękitny banknot. Nie chciała go jednak przyjąć i odezwała się stanowczo:

— Winien mi pan tylko jedynaście franków, to jest połowę kosztów za wieniec.

Dał jej więc tę kwotę, a kiedy z poważnem

obliczem chowała pieniądze do portmonetki, bąknął z uśmiechem:

— Biedna Marta, gdyby nas widziała!

Marya zaś myślała zupełnie seryo, kiedy, przypominając sobie odwiedziny na cmentarzu i wieniec złożony na grobie, odparła:

— Widziałaby przynajmniej, że o niej pamiętamy.

SZACUNEK.

Panna Zoé Camisy do wicehrabiego Jana de la Rivandière.

Kiedy list niniejszy dojdzie do rąk Twoich, mój kochany Janie, nie będzie mnie już w Paryżu; będę właśnie płynęła ku innej krainie — ku Włochom, w towarzystwie pana Williama Hopkins'a, apoplektycznego Anglika, którego w ostatnim tygodniu dwukrotnie spotkałeś u mnie, i którego Ci przedstawiłam jako swojego wuja. Pan William nie jest moim wujem; jest — od czternastu dni — moim kochankiem.

Jeżeli Ci mówię całą prawdę w sposób tak brutalny, nie myśl, bym pałała okrutną chęcią dokuczenia Tobie... Nie, — kochałam Cię bardzo i wierz mi, dotąd Cię kocham. Tylko nasz stosunek musiał się skończyć, bo się rozpoczął od nieporozumienia. Znieś więc z godnością ten cios i posłuchaj mnie jeszcze raz: doświadczenie to może Ci się przydać.

Przypominasz sobie jeszcze, drogi przyjacielu,

jakeśmy się poznali w połowie czerwca. Ach! jakie to romantyczne były te ulewy, te dorożki, na które wołaliśmy razem — woźnica jechał do Ciebie — a ty, zdjąwszy kapelusz, mnie ofiarowywałeś ów toczący się przytułek, którego, jak twierdziłeś, stokroć bardziej potrzebowałam, niż Ty. Objawiałeś przytem takie skończone wychowanie, a zarazem taką wzruszającą skromność (wzbraniałeś się bowiem wsiąść ze mną, dzieciuchu!), że natychmiast poznałam w tobie dopiero-co z ławy szkolnej wypuszczonego wychowanka pobożnych ojców z »Vaugirard« lub z »Madrytu« i natychmiast poczułam do Ciebie słabostkę, a nawet bardzo mocną słabostkę.

Jakże powoli pojmowałeś to, mój przyjacielu! Etapami musiałam Cię prowadzić aż tam, kędy cnota Twoja skonała w moich ramionach. Ale przed tym upadkiem, ileż straconego zachodu. Pięć lub sześć kolacyi we dwoje, dwadzieścia przynajmniej schadzek, podczas których rozmowy byłyby zbudowały braciszka od Karmelitów. A co za formalności! ile tych »łaskawa pani«, lub »kiedy miałem zaszczyt spotkać panią«, albo »czy pani raczy pozwolić, bym Ją odprowadził do domu?...« (Czy Ci pozwolę! O, święta naiwności!) Cały ten szacunek działał mi straszliwie na nerwy; kiedym wyszła od Ciebie, dostawałam napadów wściekłości: postanawiałam sobie napędzić Cię na cztery wiatry, nigdy już nie widzieć Cię na oczy... Je-

dnak potem... miałam, jak mówią, słabość do Ciebie... A dla nas kobiet jest taka słabość nowożytnym rodzajem *fatum*. Kiedy nareszcie straciłeś szatę niewinności — delikatnie ściągnęły Ci ją moje dłonie, bez Twojej pomocy nawet — nastało dla nas kilka pięknych dni.

O, byłeś bardzo niezgrabny, mój drogi, nie rób sobie żadnych złudzeń w tym względzie. Tylko ja byłam oczarowana i zachwycało mnie nawet niedołęstwo Twoje. Pauzy naprzykład były wprost okropne. Tak dusza Twoja była opętana szacunkiem, że mój »upadek« (jak ze spuszczonymi oczyma nazwałeś naszą małą przygodę) w niczem nie uszczuplił tego szacunku przedemną. Obchodziłeś się ze mną nieomal tak, jakbyś się obchodził z wicehrabiną de la Rivandière, gdyby ta istniała.

Kiedyśmy przyszli do owej wstrętnej kwestyi — kwestyi pieniężnej — byłeś znowu wielce zakłopotany. Osobiście — musiałeś to chyba zauważyć — pogardzam tym metalem, — ale trzeba żyć przecież, nieprawdaż? A ponieważ byłam Ci wierną, najdosłowniej wierną (o! ta słabość!), przeto oszczędności moje poczęły się wyczerpywać. Ty znowu jesteś bardzo hojny, a przytem nader bogaty, jak przystoi prawdziwej hojności. To jednak nie przeszkadzało, że wskutek tego przeklętego szacunku, który Ci słowa dławił w gardle, musiałam odegrać przed Tobą ohydną komedyę, aby wydobyć niezbędną sumę. Tak, wicehrabio, jeżelim swo-

jemu biednemu ojcu, kapitanowi jakiegoś zamorskiego okrętu, kazała utonąć w morzu chińskiem, jeżelim musiała zmyślić stracony ładunek okrętowy, chciwych wierzycieli, konieczną sprzedaż swojego domu, swoich mebli, aby nieposzlakowane imię Camisy'ów ratować od hańby bankructwa, — to jedynie sobie przypisz winę tego... Był to kolosalny s z w i n d e l, monumentalna blaga; ciężej zapewne niż Tobie było m n i e s a m e j to przenieść. Cóż jednak miałam robić?

Wreszcie wszystko było w porządku. Wspaniałomyślność Twoja była godną szlachcica: taka niewymuszona, taka pełna delikatności. Pragnęłam odwdzięczyć Ci się nieco żywszą... jakże mam się wyrazić..... trochę mniej monotonną czułością. Ale do kaduka! Prędzejby można głuchego zrobić słyszącym a ślepego widzącym! Bóg jeden wie, ilem zmarnowała wytrwałości, ile czułych napomknień. Ach! Ty odwracałeś oczy, uciekałeś od słodkiego niebezpieczeństwa z obawy, by nie uledz pokusie, by nie wykroczyć przeciw szacunkowi względem mnie, względem mnie, która przecież niczego-m bardziej nie chciała. Pewnego dnia, trochę podniecona, poczułam chętkę trochę... namacalniej dać Ci do poznania moje zamiary. Wybrałam się!!! Poznałam z trwogi, malującej się na Twem obliczu, że na fałszywym byłam torze i nawróciłam co rychlej w... ćwierć drogi. Przyznaj się, musiałeś niemało się nastraszyć!

Wówczas zmieniłam swoją taktykę. Zręcznie skierowałam nasze rozmowy na dwuznaczne przedmioty. Śmiało interpelowałam Cię o różne sprawy, na które Ty, biedaku, nie byłeś w stanie dać odpowiedzi. Zwierzałam Ci się z opowiadaniami, które rzekomo przypadkiem słyszałam i prosiłam Cię o wyjaśnienie, gdyż, mówiłam, niebardzo mi są jasne... Jakiś Ty był komiczny! Jąkając się, czerwieniąc, próbowałeś skierować rozmowę na inny temat!... Do muru przyciśnięty, oświadczałeś wreszcie: ...tak, zapewne, są mężczyźni bez zasad, którzy... bezecne kobiety, które i t. d.« Ty jednak nie potrafiłbyś »nigdy kochać kobiety, którejbyś nie szanował jak własnej żony«.

Znużona oblężeniem, odstąpiłam od niezdobytej twierdzy: gotowaliśmy w dalszym ciągu zupkę miłości — zaprawioną szacunkiem. Słabostka moja musiała być w istocie bardzo szczera, aby przetrwać tyle poprawności. Długo, długo znosiłam ją, aż do dnia, w którym powstał pomiędzy nami upiór straszliwy, poprzedniczka zerwania: n u d a. Tak, drogi przyjacielu, kochałam Cię jeszcze, ale nudziłeś mnie już śmiertelnie. Wszystko to, co Cię czyni młodym, wybornie wychowanym gentlemanem, cały Twój nienaganny układ, który mnie pierwej oczarował, złościł mnie obecnie i rozgoryczał. Każde słowo Twoje, ruch Twój doprowadzał mnie do zdenerwowania. Z chęcią wybuchłabym była gniewem, zrobiła Ci scenę, toby mi

trochę ulżyło: ale jakże miałam się kłócić z człowiekiem, który zawsze przemawiał do mnie jak do księżniczki, ustępował wszystkim moim kaprysom, który wszystko – brał przez rękawiczki?.... O, mój wicehrabio, jakże pełnym szacunku byłeś w owym ciężkim czasie – a jak nudnym! A jednak nie zdradziłam Cię. Cóż chcesz, nie jestem zwolenniczką polyandryi. Gusta są rozmaite. Mogło tak było trwać długi czas jeszcze ku mojemu i wierz mi – ku Twojemu utrapieniu. Na szczęście wmieszał się wypadek.

Przed czternastu dniami wracałam z Twojego kawalerskiego mieszkania po jednej z owych smutnych sielankowych schadzek, podczas których Ty, nawet zdejmując krawat, tak wyglądałeś, jakbyś za chwilę miał się oświadczyć o moją rękę; zdenerwowana, wściekła, w usposobieniu zabójczem wracałam do domu: w takich chwilach wracam zawsze pieszo; chodzenie rozprasza zły humor. Daleko już za parkiem Monceau, na bulwarze de Courcelles usłyszałam kroki za sobą. Spojrzałam bokiem i zobaczyłam czterdziestoletniego mężczyznę, z obliczem silnie zaczerwienionem i grubym cygarem w ustach. Szedł, a raczej wlókł się ociężale, a nad całą jego postacią unosiła się owa atmosfera angielskiego sportu, która nigdy nie myli. Przyspieszyłam kroku – on także.

Ostatecznie było mi wszystko jedno, czy się dowie gdzie mieszkam, czy nie; dotarłam do ulicy

de Phalsbourg i do swojego mieszkania, niczem nie okazując, żem go zauważyła.

Byłam już w swoim pokoju, zdjęłam welonik i kapelusz, kiedy nagle lustro nad kominkiem odbiło obraz mojego prześladowcy. Spokojnie wszedł za mną, nie napotkawszy nikogo ze służby, lub ubezwładniwszy ją kilkoma luidorami.

Odwróciłam się najwyższej pasyi:

— Mój panie, to obelga w ten sposób wdzierać się do mieszkania kobiety! Wyjdź pan w tej chwili, albo każę pana wyrzucić!

Nie ruszył się z miejsca; wyciągnął portfel i pokazał mi banknoty.

— Dam pieniądze — rzekł — pieniędzy dużo... Ja kochać kobiety, co mają takie wielkie piersi jak wy...

A kiedy chciałam zadzwonić, zamknął drzwi, ujął mnie mocno za ręce i wyrzekł:

— *Why not?* czemu nie? To jest wasz rzemiosło, *is it not?*

Cóż mam Ci powiedzieć, mój drogi Janie? Pan William Hopkins (gdyż to był on) zachowywał się wobec mnie, jak ordynarne bydlę: a teraz kiedy go znam, nie dziwi mnie to nawet; posiada wychowanie parobka od koni. Ale dusza kobiety jest nawet dla kobiety zagadką; w moim stanie zdenerwowania wówczas, działała jego brutalność na mnie dobroczynnie niby mocny tusz. Do tego przyczyniała się i ta okoliczność, że pan William,

który strawił swoją młodość w spelunkach londyńskich, zaczął mi odrazu śpiewać różne piosenki znajome, których przez cały czas stosunku z Tobą nie miałam przyjemności słyszeć.

Odchodząc ostentacyjnie położył na kominku pokaźną liczbę banknotów ze słowami, że wróci niezadługo.

Zostawszy samą, zapadłam w głęboką zadumę.

Moja nowa zdobycz nie była zapewne całkiem wedle mojego smaku; a jednak to był właśnie mężczyzna, jakiego potrzebowałam, aby się wyleczyć z olbrzymiej ilości niestrawionego szacunku...

Przyszedł znowu. Przyjęłam go opryskliwie, co zniósł z najobojętniejszą w świecie miną. W ciągu czternastu dni, w czasie których zdradzałam Cię z tym człowiekiem, potwierdzał co chwila pierwsze moje mniemanie o sobie: w każdym calu gbur, nieokrzesaniec i ordynarny rozpustnik — z ustami pełnemi przekleństw i ręką (co już stanowi pewne odszkodowanie) pełną gwinei.

Przedwczoraj oznajmił mi, że wybiera się w podróż do Włoch i zaproponował, bym z nim jechała. W istocie warunki godne Sary Bernhardt: podróż dwumiesięczna, wszystkie koszta zapłacone dwie służące i tyle a tyle dziennie.

Naturalnie przyjęłam.

Po dwóch miesiącach odjeżdża pan William napowrót do Indyi, gdzie ma interesa. Ja wracam po odbytem *tournée* zupełnie wolna do Paryża. Co

myślisz o mnie teraz, mój przyjacielu? Ten list zburzył prawdopodobnie wszystkie iluzye Twoje co do mojej osoby; nie śmiem się więc spodziewać, byś mnie odwiedził na nowo.

Jeśli jednak przyjdzie Ci chętka do tego, przyjmę Cię przy ulicy Phalsbourg z otwartemi ramionami: jestem gotowa napowrót bardzo Cię kochać — bardzo — ale już bez szacunku — musisz mi przysięgnąć — już ani odrobiny szacunku!

ZAMEK AYGUENOIR.

Pośród uśmiechniętej doliny, która w miękich zakrętach wije się pomiędzy Garumną a Baizą, uderza przechodnia dziwną posępnością zamek Ayguenoir, gdzie Blaise de Montluc pisał swoje pamiętniki i gdzie spoczywają jego prochy.

Na najwyższem wzgórzu wznoszą się wieżyce zamkowe, a z gościńca widać jeszcze w kamień wkute pierścienie żelazne, na których groźny kasztelan wieszał pojmanych Hugenotów.

Jeszcze posępniejszą jest druga strona, wychodząca na las świerkowy, na mały, ponury lasek świerkowy, z dziko poplątanymi razem konarami. Na wpół posiwiały mech pokrywa wiecznie wilgotną ziemię, poprzecinaną wązkimi, ciekącymi sznurkami wody. Dalej łączą się one we wspólne czarne trzęsawisko, od którego zamek przyjął swą nazwę. Po tej stronie gmachu wznosi się grobowy pomnik Montluc'a, pojedynczy prostokąt kamienny z wizerunkiem kasztelana. Z rękoma, skrzyżowanemi na rękojeści umiera, leży na wznak, pies

rozciągnął się u jego stóp. Gaza zielonkawej pleśni powleka cokół i posąg.

Żądni wrażeń podróżnicy dość rzadko zachodzą do Aygnenoir — ten przepiękny płat ziemi nad Garumną nieznany jest prawie turystom — lecz ci, którzy tu zabłądzą, mają przed oczyma zmartwychwstałą niejako wizyę przeszłości. Staroświecka budowa utrzymała się prawie nietknięta od czasu owych walk bohaterskich. Jeżeli się stanie na chwilę przed temi stężałemi, zębem czasu nienaruszonemi masami głazu, z myślą wgłębioną w jego kamienne masy, nie chce się wierzyć, by tu teraz mieszkali ludzie, ludzie, hołdujący modzie nowoczesnej. A jednak Ayguenoir jest zamieszkałe. W godzinie południowej można widzieć jego mieszkańców w sali przodków, zgromadzonych dokoła stołu: — wiekową damę, którą podagra związała nierozłącznie z krzesłem poręczowem, — młodą brunetkę, piękną jeszcze, lecz bladą i cierpiącą, jak gdyby więdła i schnęła w tej dumnej samotności i wielki, krzepki, młody gołowąs o czarnych włosach i cerze Hiszpana. Powoli spożywało tych troje swój posiłek południowy, nie mówiąc przy tem ni słowa.

A mury Ayguenoire'u, które w tym czasie, kiedy Montluc staczał swe dzikie boje z legendowym baronem des Adrets, były świadkami niejednej okropności, nie widziały może jeszcze takiej strasznej tragedyi, jak ten dramat familijny,

który od lat pięciu rozgrywał się dzień po dniu pomiędzy trojgiem milczących biesiadników.

Sędziwa dama jest wdową po markizie de Seyssac. Niegdyś była ona, jako jedna z najmłodszych, wśród onej lekkomyślnej drużyny, którą Mlle de Montijo przywiodła w orszaku swoim do Tuileriów. Tam poznała markiza i wyszła za niego. Należał on do starej szlachty langwedockiej. Seyssac'owie twierdzili, że pochodzą od Blaise'go de Montluc i w istocie zamek Ayguenoir przeszedł na nich w prostej linii spadkowej.

Młode małżeństwo, które należało do blizkiego otoczenia rodziny cesarskiej, przejęło obyczaje swego czasu i dworu. Markiza miała znajdować się pomiędzy temi damami, które na zakończenie biesiady nocnej w Compiegne na poły nagie układały rozpustne szarady.

Miała jednak syna, imieniem Wiktor; i to dziecko stało jej w drodze. Wysłała je przeto do Ayguenoir i oddała na wychowanie mamce, jednej z owych krzepkich chłopek w czerwonej katanie i z chustką na czarnowłosej, gładko zaczesanej głowie.

W czasie upadku cesarstwa liczył Wiktor dopiero sześć lat i ani trzy razy nie widział jeszcze swoich rodziców. Markiz poległ na wojnie, a dla markizy jedynem schronieniem była samotna ustroń w Ayguenoire. Gruzy cesarstwa zdruzgotały ją

i ogłuszyły, jak wszystkich tych, którzy ongi w dniach uciechy układali szarady w Compiegne.

Uchwyciła się swego macierzyństwa, jako jedynego pozoru, który ją jeszcze wiązał z życiem, i trzeba przyznać, że teraz, kiedy musiała się wyrzec wszystkich poprzednich namiętności, została dobrą, oddaną matką. Młodego markiza nie zamęczano zgoła wychowaniem; rósł na opiece bożej, pośród ślepych pieszczot matki i służby.

W dwudziestym roku należał Seyssac do pospolitego jeszcze do dziś dnia w Gaskonii typu młodych ludzi, którzy zabijają czas grą w karty, jazdą konną i miłostkami.

Paryż, dokąd go wysłała matka z poleceniami do niedobitków partyi bonapartystycznej, zamącił już do reszty jego ducha. Przymuszony żyć na stopie nieledwie miernej, nudził się śmiertelnie.

To też w rok później powrócił do Ayguenoire i zażądał od matki, aby mu wyszukała żony.

O tem myślała już i ona. W kilka dni po powrocie syna, zaprosiła sąsiada swego, pana de Buch na zamek. Ten, mężczyzna zaledwie pięćdziesięcioletni, całem swojem usposobieniem okazywał jeszcze młodzieńczy zapał i pełnię sił żywotnych. Pochodził z dobrej rodziny, która jednak, jak cała okoiczna szlachta, podupadła i zubożała. Przeto już wcześnie wyjechał z kraju, aby z nieznacznym kapitałem szukać szczęścia pośród stepów Południo-

wej Ameryki. Kiedy po pietnastu latach powrócił, posiadał trzy miliony, zarobione na hodowli bydła.

Za oceanem ożenił się i stracił żonę; z sobą przywiózł małą, dwunastoletnią córeczkę i umieścił ją w klasztorze Maryi Wniebowziętej w Bordeaux.

Sam zamieszkał stare rodzinne domostwo w Roquefort d'Agen, które przebudował i urządził z wszelkim przepychem. Legenda o jego olbrzymim majątku rozszerzyła się szybko i ciekawie pokazywano sobie: »Moussu de Buch'a«, kiedy przejeżdżał przez wsie, w towarzystwie swego służącego José, młodego amerykańskiego gaucha, który nie chciał rozstać się z panem swoim.

Już od dawna myślała owdowiała markiza Seyssac o tem, by ożenić syna z małą de Buch. Byłby w jej pobliżu, a i milionowy posag nie zdarza się zbyt często w Gaskonii.

Wiktor pochwalił wybór matki. Od czasu pobytu w Paryżu prześladowała go żądza bogactw, a zresztą Margot de Buch, która właśnie opuściła klasztor, była piękną, aczkolwiek aż nazbyt poważną z wejrzenia i z natury.

W ostatnim roku swego pobytu w klasztorze widziała markiza dwa lub trzy razy, pogodziła się z myślą, że zostanie jego żoną; zaraz też, skoro opuściła klasztor Maryi Wniebowziętej, wyprawiono wesele.

Pierwsze dwa lata jej małżeństwa były dosyć szczęśliwe. Tylko nagła śmierć pana de Buch rzuciła pewien cień na horyzont życia rodzinnego; w pół roku bowiem po zamężciu córki, umarł na ostre zapalenie płuc.

Młody markiz kochał swoją żonę. Wydawała mu się najbardziej pożądania godną ze wszystkich kobiet, które on, wiejski Don Juan, trzymał w swoich ramionach. Atoli z czasem osłabły jego żądze ku niej i począł na nowo uganiać za spodnicami dziewek i chłopek, zapuszczając swe myśliwskie zagony aż do Agen, Bordeaux i Tuluzy.

Margot, która się czuła opuszczoną i zdradzaną, zażądała od swojej świekry obrony wobec niewierności małżonka.

Ale stara markiza w odpowiedzi oświadczyła z uśmiechem, że mężczyźni mają już taką naturę; nielepiej działo się i jej w małżeństwie, a jednak nie umarła od tego.

Wskutek tego przyszło do zupełnego zerwania między obiema kobietami, które i przedtem nie bardzo serdeczniły się z sobą.

Margot zamknęła się w swoich komnatach, a w jej zasępionym umyśle wschodziła nienawiść ku synowi i matce.

W tym ponurym zamku Ayguenoire, przepełnionym krwawemi wspomnieniami, wszystko wydało się sprzysięgać przeciwko niej, wszyscy brali stronę markiza. Skłonność obcowania z niższymi od sie-

bie pochlebiała jego ludziom i chłopstwu. Od czasu Henryka IV. lubi Gaskonia wielkich panów, którzy nogami tratują ludność. Prócz tego Margot była cudzoziemką, córą nienawistnej hiszpańskiej rasy. Nieszczęsna prowadziła w Ayguenoire żywot banitki; jedyną jej ostoją był José, służący argentyński, którego po śmierci ojca wzięła w swe osobiste służby. Widok jego przypominał jej prerye rodzinne, wśród których się wychowała i ojca, którego śmierć opłakiwała dotąd. Z José'm mogła rozmawiać w swoim języku ojczystym, w którym uczyła się wymawiać pierwsze dźwięki, wiedziała, że jest przywiązanym do niej, jak wierny pies, czuwający nad swoim panem; że chętnieby życie swe oddał za nią, że byłby w stanie mordować dla niej.

Pewnego wieczoru w lutym — Margot de Seyssac była od pięciu lat zamężną — markiza jak zwykle nie było w domu, gdy wtem służący, nieprzytomni ze strachu, wpadli do wielkiej sali, gdzie znajdowały się obydwie kobiety. Stara markiza drzemała w swem krześle poręczowem, a młoda kobieta siedziała zadumana przy jakiejś robótce ręcznej.

»Łaskawa pani, na miłość boską, łaskawa pani!«

»No, cóż się dzieje?«

»Niosą wielmożnego pana. Jest zraniony. Kto wie, czy już nie po nim!..«

W istocie tak się rzecz miała. Wiktora de Seyssac odstawiono do domu na noszach, całego we krwi, płynącej z rany na czole. Margot próbowała dowiedzieć się bliższych szczegółów. Starano się ją w błąd wprowadzić: bąkano coś o upadku z konia w Bordeaux. — I rzeczywiście w Bordeaux otrzymał markiz cios śmiertelny — w jednym z najnędzniejszych domów publicznych w mieście, gdzie wdał się w bójkę z pijanymi majtkami. Przez całe dwa tygodnie pastwiono się nad tym wypadkiem w dziennikach okolicznych, wieści o nim przedarły się nawet do Paryża. Młoda wdowa musiała aż do dna wychylić kielich hańby. Przez chwilę myślała o tem, by pod opieką José'go powrócić do Ameryki. Jednak — nie! musiała najpierw zemścić się za swoją zmarnowaną młodość, za swoją skalaną cześć kobiecą, — a ponieważ jej zemsta nie mogła już dosięgnąć Wiktora de Seyssac, postanowiła zemścić się na jego matce, starej markizie, z której ócz od śmierci syna nie przestawały łzy płynąć.

Jeszcze wieczorem tego samego dnia, kiedy przyszła wiadomość o ostatecznem zakończeniu tej sprawy — mordercy nie wykryto, a śledztwo dobyło tylko na jaw najsromotniejsze szczegóły rozwiązłości markiza — udała się na górę do swojego pokoju i zadzwoniła na José'go.

»Słuchaj, Pepito«, przemówiła do niego, »ty mnie kochasz, nieprawda?«

»O, tak señora, jak swego Boga«.

»Nie — nie jak Boga, ty mnie kochasz, jak mężczyzna kocha kobietę. Nie odpowiadaj«, dodała, widząc przeczący gest stepowca. »Ja wiem. Byłeś już wówczas zakochany we mnie, kiedym była jeszcze maleńką, a tyś mnie jazdy konnej uczył na majdanie naszej estancia. A potem, kiedy papa powrócił do Francyi, tyś tylko dla mnie pędził za nim. Czy to nieprawda? Kiedy byłam w klasztorze, widziałam cię często w niedzielę snującego się koło murów Maryi Wniebowziętej, bo chciałeś mnie ujrzeć przez okno. A podczas ślubu mojego płakałeś w kościele jak dziecko«. —

Runął na kolana i przypełzał do jej stóp:

»Przebaczenia! — Łaski!«, zawołał, »Nie zawiniłem nic, señora, nie zawiniłem nic«.

»To prawda — nie zapomniałeś nigdy, czem ja jestem, i co mi jesteś winien. No, więc dobrze; słuchaj mnie, José. Popatrz na mnie. Jestem jeszcze piękną, pomimo zgryzot, jakie przenieść musiałam. Patrz!«

Odrzuciła chustkę, którą wedle zwyczaju swego kraju nosiła zawsze ponad głęboko wyciętą suknią i obnażyła łabędzie linie piersi.

»Piękna, piękna jak święta Madonna!« wyjąkał Pepito, którego oczy zapłonęły jasno.

»Otóż będę twoją kochanką, słyszysz, twoją metresą. Będziesz spał w mojem łóżku dziś w nocy

i odtąd co noc, aż jedno z nas pomrze. Nie możesz wierzyć w prawdę słów moich? A jednak tak będzie; będziesz mnie posiadał, będziesz moim kochankiem — zaraz teraz. — Rozumiesz mnie?«

Rozerwała ostatnie haftki, spinające suknię na piersiach i pochyliła się nagiem łonem ku Pepito'wi, który klęczał przed nią; wpijając się wzrokiem w jego oczy, powtórzyła:

»Twoją kochanką, słyszysz?«

Młody mężczyzna zerwał się jak szalony i chciał ją porwać w objęcia. Cofnęła się w tył i powstrzymała go ruchem ręki.

»Czekaj, nie jeszcze; musisz zasłużyć sobie na mnie. Musisz mi przysiądz...«

»Co? co? wyrzucił José z pobladłych warg, stękając w płomieniach pożądliwości. A potem dodał spokojnie:

»Kogo mam zamordować?«

Margot odrzekła:

»Nikogo — przynajmniej teraz. Masz mnie tylko słuchać we wszystkiem bezwarunkowo, ślepo... Jutro, skoro zadzwonią na śniadanie, wyjdziesz razem ze mną z mojej sypialni i siądziesz do stołu pomiędzy mną a markizą«.

»Dobrze«, rzekł José.

»Taksamo siądziesz z nami do obiadu i wieczór w sali przepędzisz z nami. Kiedy ci przyjdzie ochota pocałować mnie w usta, lub wziąść mnie na kolana, uczynisz to wobec markizy«.

»Dobrze«.

»Jeśli się kto ośmieli sprzeciwić ci się w czem, precz go wypędzę; a jeśli ktoś mnie obrazi, masz go zabić!«

»Dobrze«.

»Przysięgnij!«

»Na głowę Chrystusa!«

»Teraz jestem twoją. Weź mię«.

Gaucho rzucił się na nią. Pozwoliła mu się porwać i we wściekłym uścisku rzucić na łóżko, którego poduszki i kapy zdobiły herby Seys-sac'ów. — —

Lata upłynęły od owej nocy. Margot nie zaniechała walki. Z początku próbowała matka oporu. Pepito przemocą powlókł krzesło sparaliżowanej, stawiając je obok swego. Z początku chciała się zamorzyć głodem; nie zwracano na to uwagi i głód odniósł zwycięstwo.

Teraz jest już złamaną i pozwala wszystko robić ze sobą. Dzień za dniem przenosi nieznośną mękę, patrząc, jak Gaucho — przemożny opieką, jakiej mu udzieliła Margot i trwogą, jaką sam budzi — zajmuje miejsce jej zmarłego syna w czcigodnem, starem zamczysku, przy wspólnym stole,— w łożnicy synowej.

Nieraz jeszcze buntuje się jej zraniona duma i dygoce w niej serce. Wyczekuje z tęsknotą śmierci, która ma ją wybawić od tej hańby. Atoli zdaje

się, jakoby śmierć weszła w sojusze z ohydnym aktem zemsty. Szczędzi sparaliżowaną.

I długo jeszcze dawny pokojowiec z argentyńskiej farmy będzie zajmował miejsce przy stole pomiędzy obiema markizami — w sali przodków w Ayguenoire...

IDEAŁ SAMOBÓJSTWA.

(Z rękopisu znalezionego na ulicy).

Zapewne, — pieszczochem losu nie byłem, ale nie mogę także powiedzieć, by ten tyran gorzej się ze mną obchodził, niż z innymi ludźmi. Smutne to — stracić ojca w siódmym roku życia, jeszcze smutniej — mieć matkę w szpitalu waryatów. Podwójne to nieszczęście, zapewne. Atoli z drugiej strony dobrą i przyjemną jest rzeczą, jeśli się posiada majątek taki, aby módz prowadzić życie bez »fachu«, i niezależność taką, aby każdą chwilę módz spędzić tam i tak, gdzie i jak się człowiekowi podoba. Sądzę, żebym mógł pracować i pieniądze zarabiać. Jestem bardzo inteligentnym umysłem: przynajmniej tak sobie wyobrażam, zawsze bowiem pojmowałem natychmiast każdą wskazówkę, każde objaśnienie; potrafię chwycić natychmiast wszelki brak logiki, najmniejszą usterkę w kombinacyi. Nie mogłem się tylko nigdy zmusić do ciągłego umysłowego natężenia, nie zdołałem nigdy zagłębić się w umiejętność, ni wyuczyć

jakiej sztuki. Wszystko to wydaje mi się niesłychanie nudnem: jeszcze kiedy byłem dzieckiem, uczniem, wydawała mi się pilność moich gorliwie »kujących« kolegów czemś śmiesznem i dziecinnem... Przy egzaminach brali zawsze górę nademną, to mi jednakowoż nie przeszkadzało, uważać wielu z nich za głupszych od siebie i dawać im to przy sposobności do zrozumienia.

Dzięki rencie spadkowej w kwocie czternastu tysięcy franków, jestem wolny od kłopotów i nie potrzebuję pracować. Przyjemność, jaką odczuwałem, nie potrzebując wśród swoich śmiesznie zapracowanych towarzyszy nic robić, wystarczyła, aby mnie rozerwać do dwudziestego piątego roku życia. Co rana budziłem się z myślą:

— Oto znowu dzień, który mogę przepędzić według upodobania. Wszyscy dokoła mnie pocą się i żmudzą, ja tylko jestem luksusową istotą, na którą inni pracują.

I poświęcałem dzień za dniem na to, aby sobie samemu wykazać bezwartość swoją i niezawisłość, spędzając czas na rzeczach zgoła bezcelowych. Tak np. podróżowałem do miejscowości, do których mnie nic nie ciągło; rozkoszowałem się trudem innych i godzinami całemi obserwowałem ludzi, ładujących ciężary do łodzi w porcie Sekwany. Kiedy tak przyglądałem się ich pracy, doznawałem w poczuciu własnego bezczynu niewysłowionej przyjemności.

Pewnego dnia – było to trzeciego maja 1890, przypominam sobie dokładnie tę datę – obudziłem się po krótkiej popołudniowej drzemce i uczułem nagle, że się coś we mnie złamało: bez wątpienia to słabe napięcie, które mnie jeszcze pośród ludzi utrzymywało w pewnym ruchu. Odraza mnie ogarnęła ku tej odrobinie ruchu i czynności, które we mnie tkwiły jeszcze aż dotąd; wydałem się sobie zarówno śmiesznym i pożałowania godnym, jak wszystkie te ludzkie mrówki, które jeszcze wczoraj wywoływały we mnie uśmiech politowania. Jeść, spać, chodzić, siedzieć, ubierać i rozbierać się, kupować i płacić, – cóż za różnica jest koniec końcem, pomiędzy temi codziennemi sprawami, a sprawami drobnego urzędniczyny, przepisującego przez cały dzień listy, lub robotnika, ładującego w porcie Sekwany?... Na tę myśl padła na mnie groza przed życiem, i namiętnie począłem pragnąć ustania wszelkiej czynności, zatrzymania się żywej maszyny, słowem – śmierci.

* * *

Skoro całkiem jasno ujawniło się we mnie pragnienie śmierci, doznałem wielkiej ulgi. Oto po raz pierwszy życzyłem sobie czegoś i ta sprzeczność z sobą samym zachwycała mnie jakby losu wyzwanie. Zdało mi się, jakobym dopiero teraz odkrył w sobie prawdziwe powołanie, powołanie

polegające na tem, by się zabić, złamać w sobie sprężynę ludzkiego zegara. I bez wahania jąłem rozważać, jakiby wybrać rodzaj śmierci.

Naturalnie, najpierw przyszły mi na myśl zwykłe rodzaje samobójstwa. W naszych czasach zabijają się ludzie czadem węglowym, rewolwerem, lub skacząc do wody z wysokości mostu. Są także ludzie odważniejsi, którzy się kładą na szynach, i czekają na pociąg, aby się dać poćwiartować.

Wszystkie te środki odrzuciłem, jako barbarzyńskie i odpychające. Po pierwsze, wymagają zewnętrznego aparatu, który mnie odstręcza; a potem, żaden z nich nie prowadzi pewnie do celu. Społeczeństwo sprzysięgło się przeciwko samobójstwu, jak się sprzysięgło przeciw milczeniu, bezczynności, jak przeciw temu wszystkiemu, co mi jest drogiem. Muszę więc wynaleźć rodzaj śmierci, wobec którego społeczeństwo jest bezsilne. I taki, któryby nie był bolesnym. Przyciąga mnie śmierć, atoli lękam się bólu. Ból jest rozpaczliwym ruchem, — przeciwieństwem śmierci, która jest samym spokojem. Nie chcę czuć bolu.

I — można-li temu wierzyć? — umiejętność, która pozornie zrobiła taki ogromny postęp, — w szczególności znajomość ciała ludzkiego i jego stosunku do organicznych i nieorganicznych materyi, ta umiejętność czyli medycyna nie wynalazła dotychczas żadnego środka, któryby zabijał praktycznie, pewnie zarazem i bezboleśnie; a już

zgoła nie posiada tego, czego ja przedewszystkiem sobie życzę, to jest środka, sprowadzającego śmierć świadomą.

Zasięgałem w tym względzie wiadomości u najznakomitszych lekarzy. Podawałem się za literata, za powieściopisarza, który szuka dla swej książki oryginalnej katastrofy. Wszyscy w rezultacie radzili mi, bym bohatera swego uśmiercił morfiną lub antipyryną — wreszcie gazem azotowym; jednak kiedy nalegałem na nich, by mi powiedzieli, czy rzeczywiście środki te śmierć sprowadzają, wyznali mi, że pacyent umiera właściwie na chorobę, którą wywołuje nadużycie powyższych chemikalii...

Wszyscy medycy są osłami; słuszność miał Makbet, kiedy chciał »psom porzucić lekarstwa«.

* * *

Ponieważ jednak nie mogłem znaleźć nic lepszego, zdecydowałem się umrzeć przy pomocy gazu azotowego. Kupiłem maskę, jakiej używają dentyści, postarałem się o gaz i dałem się dwukrotnie uśpić pewnemu młodemu medykowi, który za pieniądze gotów mi był dopomódz. Miałem przy tem bardzo przyjemne uczucie, rodzaj błogiej świeżości, spotęgowanej oczekiwaniem czegoś rozkosznego. Nauczyłem się sam obchodzić z aparatem: rzecz to nader łatwa, skoro się tak aparat

ustawi, aby włożywszy maskę, kurek od gazu mieć pod ręką. Poczyniwszy te przygotowania, wyznaczyłem dzień i godzinę śmierci: 21 września o pierwszej godzinie rano.

Ostatnie dni, które mi jeszcze pozostały, obróciłem na spokojną, trzeźwą obserwacyę życia i jego marnych dekoracyi. Odwiedziłem też tych przyjaciół, którzy mi jeszcze najmniej szkodzić usiłowali. Wreszcie, w wigilię samobójstwa poszedłem do zakładu, w którym umieszczono moją matkę, aby ją po raz ostatni uścisnąć.

Nie widziałem jej przez całe dwa lata, to też mimowoli doznałem uczucia radości na jej widok. Wszystkie wspomnienia przeszłości znikły bez śladu z jej pamięci. Nie poznała mnie wcale. Miałem przed sobą rodzaj idyotki, siedzącej na nizkiem, poręczowem krzesełku; bawiła się flaszką, w której kołatały trzy małe kamyki. Między tą idyotką, a mną nie było nic wspólnego; nic w niej nie przypominało młodej, uroczej kobiety, jaką była niegdyś, a której rysy, głos, ruchy stały jeszcze żywo w mojej pamięci.

Zanim opuściłem szpital, ofiarował się towarzyszący mi lekarz oprowadzić mnie po nim. Ponieważ mam silne nerwy, nie lękam się widoku obłąkanych. Pokazał mi furyatów w zakratowanych celach, przywiązanych do ławek i ryczących, jak dzikie zwierzęta. Zaprowadził mnie do chorych staruszek, które z wybuchami dziecinnego śmiechu

szarpały mnie za połę. Przeszło pół godziny chodziłem po rozległym dziedzińcu, gdzie nieszkodliwi obłąkańcy, monomani i melancholicy, mogli się przechadzać z zupełną swobodą. Prawie wszyscy zbliżali się do nas i rozmawiali z lekarzem lub ze mną. Prawie wszyscy mówili o pieniądzach, o wielkich sumach, które nam ofiarowywali, lub których żądali od nas. Dwóch tylko waryatów zalewało się łzami tęsknoty i domagało się wolności. Atoli jedna chora obudziła we mnie szczególniejszy interes.

Była to kobieta zaledwie czterdziestoletnia, bardzo jeszcze piękna. Siedziała skulona w kącie podworca i trzymała w jednej ręce zegarek, w drugiej lusterko. Na przemiany: to oglądała się w lusterku, to spoglądała na zegarek. Wargi jej poruszały się nieustannie: zdawała się coś liczyć, dodawać liczby.

Spojrzałem pytająco na swego przewodnika.

— Ta zwaryowała z miłości, — odpowiedział. — Kochanek jej, młody człowiek, uznał ją jednego dnia za starą dla siebie i postarał się o młodszą. Odtąd spolaryzowała się idea starości w jej mózgu. Czasami wyobraża sobie, że widzi wielką otwartą otchłań, ku której biegnie nie mogąc się powstrzymać, jak twierdzi: dostaje wówczas straszliwych ataków. W chwilach spokojniejszych ogranicza się do tego, by liczyć minuty

i obserwować ślady, jakie każda miniona minuta wyryła na jej twarzy.

Przerwałem lekarzowi:

— Dziękuję panu, panie doktorze, — rzekłem, — wszystko, coś mi pan pokazał w łaskawości swojej, jest bardzo... bardzo dziwne. *Adieu.*

Opuściłem go nagle; szybko oddaliłem się z dziedzińca zakładowego. Poczytał mnie może za podobnie chorego, jak jego pensyonaryusze. W rzeczywistości potrzebowałem samotni i skupienia, aby rozważyć myśl, która nagle przemknęła mi przez głowę na widok owej czterdziestoletniej zakochanej monomanki, obliczającej bieg godzin. Wielka czarna otchłań, ku której się bieży, nie mogąc zatrzymać kroku!... Ślady, jakie każda mijająca minuta wyżłabia na licach!... Ta szalona miała przecie słuszność! Każda minuta burzy w zupełnie logiczny sposób jakąś cząstkę naszego ja, albowiem każda zbliża nas do ostatecznego rozkładu! Każda minuta jest etapem w drodze, która nas prowadzi ku śmierci... wielkiej, czarnej otchłani. Tak próżną, tak ograniczoną jest większa część ludzi, że nie dostrzega tego nieustannego burzenia, tej gonitwy niewstrzymanej, niemiłosiernej naprzeciw nicości. Atoli jeżeli spolaryzuję ducha swego i intenzywnie o tem myśleć poczne, jeżeli tę niezaprzeczoną prawdę ustawicznie miał będę na oku, czyż nie uda mi się może odczuwać bez przesady ów gon śmiertelny, tak jak w pociągu, na okręcie odczuwam

bez ustanku ruch postępowy?... A jeżeli mi się uda czuć to powolne, regularne konanie, nie będzie-ż ono najdłuższem i najsłodszem samobójstwem?

Odrzuciłem gaz precz od siebie i oto czuję obecnie i bez końca to śmierci dotknięcie, które się ukrywa pod czczemi błyskotkami żywota.

O, długo, długo byłem jeno niedołężnym prozelitą; zdołałem tylko z najwyższem wysileniem wyśledzić bieg czasu, wieczne zużywanie się ciała i mózgu, i wrażenia te przerywały długie pauzy, podczas których ulegałem napowrót głupim illuzyom organicznej czynności, rosnącej siły żywotnej.

Nie wypuściłem jednak z rąk powziętej idei. Otoczyłem się wszystkiem tem, co mierzy i symbolicznie wyobraża uciekające minuty; wydobyłem wszystko, co uwydatnia powolną, nieuniknioną zatratę wszelkich istot żyjących. Poszedłem znowu do domu waryatów, w którym żyje matka moja; rozmawiałem z czterdziestoletnią zakochaną, którą nazywają tam idyotką, a na którą ja spoglądam z uszanowaniem, z jakiem Hindus myśli o swoich świętych, patrzy na swoich nieruchomych derwiszów. Zaraziła mnie swoją zapamiętałą wrażliwością i obecnie partaczką jest wobec mnie, gdyż ona drży przed tym pędem ku śmierci, a ja go kocham. Niema teraz ani mgnienia sekundy, w którembym nie czuł, że umieram; przez mikroskop świadomości widzę nietylko dzieło zniszczenia każdej godziny

na swojem obliczu, lecz także grabież, jaką każda minuta popełnia na moich płucach, moich lędźwiach, mojem sercu...

Ciało moje jest jakoby wielką klepsydrą, a ja uparcie wpatruję się, jak piasek cieknie... i cieknie...

Niechże mi kto opowiada teraz o słynnych samobójstwach wspaniałych Rzymian, którzy tętnice sobie otwierali w kąpieli i życie przesączali zwolna w letnią wodę i o śmiertelnie słodkiej truciźnie, która wlewała się w żyły na miejsce upływającej krwi! Kąpiel, w którą ja się zanurzyłem jest śmiercią samą, która kropla po kropli osiada we mnie na miejscu uciekającego życia... Jestem większym filozofem niż Leibnitz i większym wynalazcą niż Newton. Odkryłem samobójstwo wszystkich samobójstw, które polega na tem, — że się żyje — — — — — — — — — — — — — — — — —

TREŚĆ:

	Str.
Między nami panienkami	5
Panna Hilda	15
Panna ze złotym kotem	23
Znowu omyłka	37
Morderca	47
Odwiedziny na cmentarzu	59
Szacunek	77
Zamek Ayguenoir	87
Ideał samobójstwa	97

12.-
K/155/2

KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
DOM
No 68139

Ogródek Afrodyty

wybór lekkich powieści.

Tom 1. Prévost Marcel: Dziewuszki.
Tom 2. Thoma: Alimenta Karolka.
Tom 3. D'Aureville: Upadła.
Tom 4. Bierbaum: Włoski św. Fryngilli.
Tom 5. Podlewski Ad.: W półświetle buduaru.
Tom 6. Meyriuck: Księżna Jerczi Piczi.
Tom 7. Dwerinann: We „troje".

Dalsze tomiki w przygotowaniu.

Cena tomu 1 korona, 50 kop., 1 mk.

Księgarnia nakładowa Stefan Kavka w Krakowie.